

**Kathryn Haig**

# **Weronika**

*(White Horse Yale)*

*Przełożył Dariusz Kunicki*

## Rozdział 1

Weronika przeczytała ponownie list, zwracając tym razem baczniejszą uwagę na charakter pisma; niestaranne, pisane w pośpiechu litery świadczyły o tym, że autor był gdzieś daleko myślami; gwałtowne pociągnięcia piórem pozostawiły grube, czarne kreski, przy „i” brakowało kropek, a każde „t” było stawiane pośpiesznie i bez namysłu.

Autobus turkocząc jechał po opadającej w dół drodze, uparcie najeżdżając kołami na każdą koleinę. Weronika podskakiwała na siedzeniu i grube czarne linie pisma zamazywały się.

Próbowała sobie wmówić, że ssanie jakie odczuwała w żołądku spowodowane było tym, że nie miała nic w ustach od śniadania, to znaczy od sześciu długich godzin albo że winę za wszystko ponosiły twarde siedzenia autobusu. Każda wymówka była dobra, tylko nie ta, że była po prostu zdenerwowana. Zresztą, pocieszała się, nikt nie przepada za rozmowami w sprawie pracy. Nawet jeżeli była tylko odrobinę podenerwowana – tylko odrobinę – mogło jej to wyjść jedynie na zdrowie. Niech sobie jakiś tam pan Christopher Bladon nie myśli, że od jego decyzji zależy całe jej życie.

Autobus ostro skręcił w lewo, mijając przydrożny słup, na którym wyczytała z ulgą, że do końca podróży pozostały jej jedynie trzy mile. Pędzili na złamanie karku wzdłuż urwiska, a potem wzgórze, które okalał wysoki żywopłot z głogu. Poprzez prześwity w żywopłocie widać było surowe kontury White Horse, wznoszącego się nad doliną. Gdyby tylko miała tyle odwagi co kierowca, który nie zdejmował nogi z gazu, nic sobie nie robiąc z tego, że ktoś mógł niepostrzeżenie wejść na jezdnię...

Kiedy mijali pierwsze budynki Hinton Priors, zdała sobie nagle sprawę, że pognieciony kawałek papieru, który trzymała w ręku, był listem od jej przyszłego pracodawcy.

Położyła list na kolanach, próbując wygładzić załamania. „Gdybym bardziej dbała o wszystko” – pomyślała bez przekonania – „list leżałby teraz bezpiecznie w schludnej teczce, spięty razem z dokumentami i rozkładem jazdy autobusów. Zrobiłoby to na pewno o wiele lepsze wrażenie. Niestety, to do mnie nie pasuje – każdy to z łatwością zauważy. Proszę, jak wyglądam, mam dwadzieścia trzy lata i już nie jestem nikomu potrzebna. Ale mam zamiar odmienić swój los i dopnę swego”.

Weronika wstała, kiedy autobus wjechał na mały skwer, wystarczająco jednak szeroki, aby pojazd mógł zawrócić. Kierowca nacisnął na pedał hamulca, tak jakby chciał zatrzymać lekki wóz drabiniasty, a nie kilkutonowy środek lokomocji. Weronika rozłożyła się jak długa na sąsiednich siedzeniach.

– Będzie pan wracał? – zapytała starając się, aby nie odgadł tego, co naprawdę pragnęła usłyszeć.

– Zgadza się, ja obsługuję tę trasę. Wrócimy więc razem?

– No cóż, jestem tego prawie pewna. Proszę nie odjeżdżać beze mnie.

– Będzie pani i tak moją jedyną pasażerką. Tylko proszę się nie spóźnić. To będzie mój ostatni kurs tego dnia.

Zeskoczyła z ostatniego stopnia o wiele pewniej, niż to wyglądało. Gorący wiatr, zbawczy po duchocie panującej w autobusie, rozwiewał kosmyki jej krótkich włosów koloru dojrzałej kukurydzy. Długa grzywka raz muskała policzki, a zaraz potem skrywała jej szare oczy przed promieniami słońca. Światło słoneczne odbijało się od pomalowanych na biało zabudowań, sprawiając wrażenie, że ich ściany drgają pod wpływem gorąca. Wewnątrz zaś, budynki na pewno wypełniał orzeźwiający chłód, lecz tutaj skwar był nie do zniesienia.

Weronika grzęzła w rozgrzanej smole jezdni, żałując, że sztruksowe džinsy tak ładnie opinają jej długie, zgrabne nogi. Nie wspominając już o flanelowej koszuli w kratkę, w której odpinała kolejny guzik.

Na placu był tylko jeden sklep, niestety, w porze obiadowej zamknięty. Drewniane skrzynki wypełnione zwiędniętymi warzywami poustawiano przy wejściu. Daszek w zielono-kremowe pasy mógł z powodzeniem chronić je przed porannym słońcem, lecz teraz był bezużyteczny.

Westchnęła. Miała nadzieję, że uda jej się zjeść obiad, a nade wszystko napić do woli. Spojrzała na zegarek, w tej też chwili usłyszała pojedyncze uderzenia dzwonu z wieży kościelnej. Był kwadrans po pierwszej. Pozostała więc godzina i piętnaście minut do spotkania i rozmowy w sprawie pracy i mila drogi od wioski do Priory. No cóż, może jest tam gdzieś gospoda. Nie myliła się. Ze ściśniętym sercem przeszła przez zastawiony drogimi samochodami parking, leżący przy gospodzie „Pod Białym Jeleniem”. Na ścianach gospody wisiały trofea myśliwskie i mosiężna uprzęż końska. Drzwi do toalety przyozdobione były tabliczkami z napisem; pierwsza – „dla źrebic”, następna – „dla źrebaków”.

Przecisnąwszy się przez tłum mężczyzn w bawełnianych golfach i kobiet ubranych w zgrabne kostiumy od Missoniego, poprosiła barmana o podwójny dzin z tonikiem.

„Na pewno jestem niewidzialna” – pomyślała, kiedy już dotarła do baru. Barman zajęty rozmową z którymś ze swoich stałych klientów, nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Miała do wyboru – albo krzyczeć ile sił w płucach, żeby zwrócić na siebie uwagę, albo zrezygnować. Wymyślając sobie od tchórzliwych kretynek, wybrała to drugie. Wyszła z karczmy o wiele bardziej spragniona i rozgrzana, niż wtedy, gdy się tam pojawiła.

Tyle cierpień, a przed nią jeszcze długa jak wieczność godzina. Nie ma drugiego takiego pustkowie, jak mała wieś angielska w porze letniego lanczu. Nawet dzikie kaczki na rzece straciły swoją zwykłą ruchliwość. Przycupnęły w cieniu kamiennego mostu, próbując złapać w rozpostarte skrzydła najłżejszy podmuch wiatru.

Weronika oparła łokcie na rozpalonej od słońca balustradzie, gapiąc się beczynn timer na przepływającą leniwie wodę i delikatne, białe kwiaty wodnych lilii. Dwie turkusowe ważki wykonywały przepyszne akrobacje, umizgując się do siebie.

Chłód bijący od wody był prawie tak samo dobry jak drink. Ostrożnie zamoczyła koniuszki stóp, potem podwinęła do kolan spodnie, rozkoszując się chłodną wodą wokół kostek. Podwinęła też rękawy koszuli, rozpięła następny guzik i z ulgą położyła się na miękkim torfie, tak aby palce stóp nadal pozostawały w wodzie. Mimo rozkoszy, każda upływająca minuta rozciągała się w nieskończoność. Nagle do jej uszu dobiegło dziwne taplanie, przypominające odgłos łopatek statku parowego, płynącego w górę rzeki. Statek parowy?! W Wiltshire?! Weronika usiadła, jednak nie dostrzegła niczego podejrzanego, choć hałas nasilał się.

Nagle spod mostu wypłynęły dwa czarne psy. Ten na przodzie, większy, płynął mocno i pewnie. Wystarczyło kilka zgrabnych ruchów ogonem, aby znalazł się na brzegu.

To ten drugi spowodował hałas, który ją tak przeraził. Samiczka była o wiele mniejsza, wyglądała prawie jak szczenię. Silnymi uderzeniami przednich łap próbowała utrzymać się na powierzchni wody, wyrzucając do góry fontannę piany. Sapiąc próbowała dogonić większego towarzysza.

Psy myśliwskie wyszły z wody i przez chwilę stały w strugach ociekającej wody. I wtedy, zdając sobie sprawę z tego, co ją za chwilę spotka, Weronika rzuciła się biegiem przed siebie, aby jak najszybciej znaleźć się poza ich zasięgiem.

Niestety, było już za późno. Strumień wymieszanej z błotem wody z rzeki wystrzelił w jej stronę. Psiaki, nic sobie nie robiąc z jej obecności, radośnie

otrząsały się od czubków nosów po końcówki ogonów. Była tak przerażona tym, co się działo, że nawet nie krzyknęła, aby je powstrzymać. Na domiar złego, kiedy nachyliła się, aby dokładnie obejrzeć plamy na spodniach, ten mniejszy wspiał się na tylnych łapach, a przednie, zabrudzone błotem oparł na koszuli.

– Bardzo panią przepraszam – dobiegł ją głos z mostu. Weronika zmrużyła oczy, promienie słońca padały prosto na jej twarz. Na próżno wysilała wzrok. Zauważyła tylko, że stał tam jakiś mężczyzna.

– Czaka i Tarka – zostawcie panią! – z jego głosu biła powaga. Duży pies natychmiast zastygł w bezruchu. Samiczka zaś, za nic mając jego komendę, podskakiwała i merdała ogonem, wyczekując tylko okazji, aby ponownie skoczyć na Weronikę.

– Siad, Tarka. Nie zrobią pani krzywdy, są bardzo przyjacielskie.

– Przyjacielskie, nie ma co – odpowiedziała z grymasem na ustach, próbując na próżno zetrzeć błoto, które nie dało się usunąć, pozostawiając większe plamy.

Jeszcze kiedy zszedł z mostu, miała kłopoty, próbując mu się przyjrzeć. Miał za plecami słońce, a Weronika musiała mrużyć oczy. On zaś mógł ją sobie obejrzeć od stóp do głów. Świadomość tego sprawiała, że czuła się wyjątkowo niezręcznie.

– To tylko błoto – rzekł – kiedy wyschnie, samo odpadnie.

– Sama wiem, że pokruszy się i odpadnie, kiedy wrócę do domu. Za chwilę jednak będę musiała pójść na rozmowę w sprawie pracy, wyglądając jak jedno z pańskich trofeów myśliwskich.

– One nie polują, lecz aportują – nachylił się aby pogłaskać sterczące ku niemu, wilgotne uszy. Psie ogony jak na komendę podskoczyły do góry i zaczęły radośnie merdać. Kiedy zbliżył się, zobaczyła jak jego źrenice nagle się rozszerzają. Sprawiała to rozpięta na całej długości bluzka. Pospiesznie podniosła rękę, aby zrobić z nią porządek. „Nie – pomyślała – nie zrobię tego. Skoro przygląda mi się uwodzicielsko, lepiej będzie, jeśli nie dam mu satysfakcji, reagując bojaźliwie. „

On zaś uparcie wpatrywał się w nią. To było nie do zniesienia. Czuła, że mimo piegów na policzkach, widział purpurę, która pokryła całą jej twarz.

Teraz, kiedy jej oczy przyzwyczyły się do jasnego światła, mogła dostrzec jego ciemnoniebieskie oczy. Przypominały kolorem Morze Śródziemne, kiedy patrzy się na nie z wysokiej skały. „Morze koloru wina” – przemknął jej przez myśl dawno zapomniany urywek jakiegoś utworu. Mogłaby zanurzyć się cała w otchłani tych oczu.

– Gdzie, w takiej wiosce, dziewczyna twojego pokroju mogłaby szukać pracy?

– zapytał.

„Tylko nie to” – pomyślała. „Tylko nie takie tam – dziewczyna twojego pokroju. „

– Żadna z nas metropolia. Wiem, że młode dziewczyny lubią zakosztować nocnego życia, a trudno o takie w Hinton Priors.

– Nie przepadam za taką rozrywką. Całe życie wychowywałam się na wsi, przy koniach – uwielbiam je.

– Konie. Rozumiem – powiedział poważnie, wydymając przy tym usta. – To pewnie udajesz się do Priory?

– Zgadł pan. Zna pan pana Bladona?

– Każdy tu zna Kita Bladona – zdawało się jej, że usłyszała podejrzany chichot.

– Chciałabyś, abym dał ci kilka dobrych rad, jak z nim postępować?

– Wykluczone – oburzyła się. – To nie byłoby w porządku. Poza tym mógłby się do mnie zrazić.

– Skąd ta pewność, że tak się nie stanie – wypowiedział te słowa drwiącym tonem, z kamienną twarzą.

– Znam się na swojej pracy – odpowiedziała mu szczerze, bez zbytej skromności. – Jestem pewna, że mu się spodobam, to znaczy byłam, zanim pańskie psy na mnie napadły.

– Przecież przeprosiłem cię, stało się i teraz nic nie mogę na to poradzić. Psiaki są bardzo przyjacielskie, uwielbiają zabawę, a widząc, jak leżysz na ziemi, nie mogły przepuścić takiej okazji. Zresztą Kitowi wcale nie będzie przeszkadzało błoto na twoim ubraniu.

– Wątpię w to. Każda licząca się stadnina, o podobnej reputacji szuka tylko najlepszych pracowników. Niedbały wygląd oznacza niestaranną pracę – tak mówią. Ja zresztą też tak uważam.

– Chciałbym ci to jakoś wynagrodzić. Czy moglibyśmy się spotkać, później, po rozmowie z Bladonem? Wpadniemy gdzieś na drinka.

Weronika nie chciała zachichotać, ale nie mogła się powstrzymać.

– Może w „Białym Jeleniu”? Karczma wygląda na odpowiednie miejsce dla pana i dla mnie.

– Byłaś tam? Niemożliwe! Trudno mi w to uwierzyć, jesteś taka bezpretensjonalna. Wybierzmy się gdzie indziej. Powiedz tylko, że się zgadzasz.

Zapał w jego głosie zaskoczył Weronikę. Naprawdę pragnął się z nią spotkać, a ona nie kwapiła się mu odmówić. Przecież dopiero co się poznali. Nigdy przedtem nie umawiała się na randkę z nieznanymi, choć wieczór w jego towarzystwie – kimkolwiek był – zapowiadał się zachęcająco. Nawet błoto na koszuli i spodniach

przestało jej przeszkadzać. Jednak nie zgodziła się.

– Nic z tego – rzekła. – Przykro mi, muszę zdążyć na ostatni autobus. Bardzo panu dziękuję.

– Może innym razem. Kiedy przyjmą cię już do tej pracy.

– Jeżeli przyjmą – poprawiła go.

– Przecież byłaś pewna, że mu się spodobaś, przypomnij sobie. Kiedy wszystko ułoży się, jak sobie tego życzysz, nie będziesz musiała gnać na ten autobus, odjeżdżający o czwartej trzydzieści trzy po południu.

– Najpierw muszą mnie przyjąć, ale nic z tego, jeżeli się spóźnię. Jest druga dwadzieścia, wątpię, czy zdążę.

Klnąc pod nosem, pospiesznie wciągała swoje buty z wysokimi cholewami.

– Zdążysz, nie ma obawy. To niedaleko stąd. Niestety nie mogę cię podwieźć, bo sam jestem pieszo. Za mostem skręcisz w prawo i prosto przed siebie, aż do samego końca.

Weronika ruszyła truchtem, zablocona i zlana potem. Wolała nie myśleć, jakie wywarła wrażenie. Wydawało się jej, że słyszała, jak nieznajomy krzyknął za nią: – Powodzenia!

Przystanąła na chwilę za najbliższym żywopłotem, aby zapiąć starannie koszulę. Przypomniała sobie, jakie wrażenie wywarły na niej wszystkowiedzące ciemnoniebieskie oczy nieznajomego. To, jak ją lustrował, ten błysk aprobaty. Znał się z pewnością na rzeczy.

Czarujący uśmiech i zwodniczo spokojne ruchy ciała, maskowały tylko jego prawdziwy charakter. Dziwiła się teraz, że zapamiętała aż tak wiele szczegółów dotyczących jego wyglądu. Nawet drobne, białe smugi na opalonej skórze pod oczami nie uszły jej uwadze.

„Zachowałam się jak podłotek – od stóp do głów oblałam się rumieńcem” – skarciła siebie. Ostatni raz rumieniła się, kiedy zbierała autografy od znanych piosenkarzy. Nie, teraz to był inny rumieniec. Nie miał on nic wspólnego z uczuciami nastolatki do chłopca. Był to rumieniec wyrażający stosunek kobiety do mężczyzny, kobiety, która, za chwilę straci może jedyną w życiu szansę na dobrą pracę.

Weronika przyspieszyła kroku, weszła w zaciemnioną alejkę. Potem ciężko dysząc, zaczęła piąć się w górę. Była silną kobietą. Mogła przez cały dzień, bez wytchnienia układać siano w stogi. Jednak bieg na szczyt wzgórza w palącym słońcu, okazał się ponad jej siły. Z dala dobiegł ją tętent końskich kopyt. Ktoś pędził tą samą, pnącą się w górę alejką. Jeździec nie zwolnił nawet wtedy, gdy był

na tej samej wysokości co ona, zmuszając ją do ustąpienia z drogi. Po prostu popchnął Weronikę na gęsty jak sieć żywopłot.

Spojrzała na konia, ogromnego, czystej krwi wierzchowca. Wyglądał majestatycznie; miał klasę. Jego okrycie było ciemne od potu, a kark i piersi pokrywała biała piana, znak, że koń biegł w upale przez dłuższy czas.

Jeździec nawet nie obrócił głowy w jej stronę. Miała – bo była to kobieta – klasę równą zwierzęciu. Nienaganne bryczesy, połyskujące w słońcu buty do konnej jazdy i marynarka z wrzosowego tweedu.

Weronika nie mogła dostrzec jej twarzy, zasłoniętej daszkiem dżokejki. Była zgrabną, smukłą brunetką, która nawet skinieniem ręki czy głowy nie dała Weronice odczuć, jak bardzo jest jej przykro za to, co się stało.

– Założę się, że nawet nie spostrzegła jak wpadłam do rowu – zamruczała gniewnie. – Pewnie to jedna z tych, co raczej powinna się wstydzić, że dosiada konia.

Dotarła wreszcie na szczyt wzgórza. Spojrzała na zegarek, była dokładnie czternasta trzydzieści. Odetchnęła z ulgą. „Jak ja wyglądam?” – pomyślała. Poprawiła włosy i włożyła koszulę do spodni.

Otworzyła bramę i weszła na dziedziniec. Wyglądał nieźle; wymieciony do czysta, narzędzia wisiały jedno przy drugim na kołkach wbitych w ścianę. Nie było tam nic, co psułoby estetykę albo narażało pracowników na niebezpieczeństwo. W każdej stajni było światło i kran z wodą. W głębi stała stodoła, tak samo schludna jak obejście. Była doskonałą jadłodajnią dla zwierząt. Z pomieszczenia obok, dobiegły ją odgłosy zajętych pracą ludzi. Kiedy wchodząc skrzyknęła furtką, ze stajennych boksów wyjrzały inteligentne głowy koni. „Tak powinno być” – pomyślała. „Zwierzęta są czujne i pełne życia”.

Na widok konia, który stał na środku podwórza, zmarszczyła gniewnie brwi. To ten sam koń, który zepchnął ją z alejki. Nadal był osiodłany, a z pyska zwisała uzda. Skórę miał wilgotną od potu. Stał na słońcu, ze spuszczoną głową i wyciągniętą szyją.

Zobaczyła znikającą za rogiem budynku, zgrabną kobietę, która przed chwilą dosiadała konia.

– Proszę pani – zawołała. – Proszę pani – powtórzyła głośniejszym głosem. Kobieta obejrzała się i uniosła z zaciekawieniem brwi.

– Czy to pani koń? – czuła, że jej słowa brzmią agresywnie, ale nie mogła się powstrzymać. Nie chodziło jej o to, że przez tę kobietę wylądowała w rowie, po prostu żal jej było zwierzęcia.



– Zgadza się, zaraz zajmie się nim stajenny.

– Nie o to chodzi. Czy pani zawsze tak traktuje zwierzęta? – zdjęła z konia strzemiona i zgrabnie rozluźniła uciskające go popręgi.

– Czy nikt pani nie mówił, że konia przyprawia się do domu dopiero wtedy, gdy obeschnie z potu? Widziałam, z jaką szybkością wjeżdżała pani na wzgórze.

Kobieta zbliżyła się do niej. Była niższa i delikatnej budowy ciała. Nerwowo uderzała szpicrutą o cholewę buta.

– Kim jesteś? Pracujesz tutaj? – zapytała stanowczo, z obcym akcentem w głosie.

– Jeszcze nie, dopiero mam zamiar.

– To wybij to sobie z głowy – dla takich jak ty nie ma tu pracy.

– Nie pani będzie o tym decydować – czuła, że wzbiera w niej złość. – Zwierzęta nie są samochodami, które parkuje się, gdzie popadnie.

– Jeżdżę na koniach całe życie.

– Więc powinna pani o tym wiedzieć.

Te ostatnie słowa Weronika wypowiedziała do siebie, bo kobieta w połowie zdania odwróciła się do niej plecami. Weronika pogłaskała konia po grzywie, zdjęła mu lejce z karku i zaprowadziła do pustego boksu.

Z pomieszczenia, z którego dobiegały odgłosy rozmowy, wyszedł mężczyzna w średnim wieku.

– Gratuluję, pannie Rafaeli dostało się za swoje. Od miesięcy marzę, że ktoś wreszcie nauczy ją rozumu.

– A ja już myślałam, że przesadziłam. Wie pan, należą do tych osób, co to najpierw coś niewłaściwego powiedzą, a potem żałują.

– Miałaś całkowitą rację. Nazywam się Bob Fuller.

– Weronika Jordan.

– Miło cię poznać.

Wyciągnął rękę i łagodnie ujął wierzchowca za kłęby. Dłoń miał szorstką, z krótkimi palcami.

Weronika widziała przez na pół otwarte drzwi do stajni, jak zdjęł uzdę i nałożył chomąto. Następnie zabrał się do zaczesywania śladów po rzemieniach mocujących siodło.

Weronika wzięła siodło z uzdą i przeniosła do pomieszczenia obok. Dwóch wyrostków czyściło uprząż, której poszczególne części porozkładane były na stole. Kiedy weszła, skinęli grzecznie głową. Położyła siodło na drewnianej poręczy, a uzdę zawiesiła na haku.

Kiedy wróciła do stajni, Bob pogwizdując przez zęby kończył czyścić konia.

– Czy często macie takie klientki jak panna... Rafael?

– Ona nie jest klientką – odpowiedział nie przerywając pracy – to narzeczona zarządcy.

– Zarządcy? To znaczy pana Bladona? Jak on może z nią wytrzymać?

Czuła, że cała podróż tutaj stoi pod dużym znakiem zapytania. Narzeczona zarządcy. Ciekawe, czy widział, jak traktuje jego konie, a może tak mu zawróciła w głowie, że było mu to obojętne.

Popatrzyła na zegarek. Była za kwadrans trzecia. Jej odzież, pobrudzona błotem i pognieciona, przedstawiała okropny widok. Brudne ręce, którymi dotykała konia, dopełniały reszty. I jeszcze historia z tą kobietą.

Jakby słyszała słowa zarządcy: „Czy punktualność ma dla pani jakiegokolwiek znaczenie, pani Jordan? A co pani sądzi o schludnym wyglądzie przy pracy? A dobre maniery – nie są chyba pani mocną stroną?”

Szkoda, a już zaczęło jej się tu podobać. Rozejrzała się dookoła. Tak z pewnością wyglądałby jej własny dziedziniec.. Dziedziniec – to słowo budziło jej tajoną tęsknotę za stajniami, których byłaby dumną właścicielką. Może, któregoś dnia. Ten dzień zdawał się coraz bardziej oddalać.

Ludzie też byli tu sympatyczni, zwłaszcza pan Fuller wyglądał na godnego szacunku stajennego, z którym można i warto ciężko pracować. Pan Bladon był szczęśliwcem.

Weronika równie cicho jak weszła, wymknęła się przez bramę, zamykając ją niepewnie za sobą. Mimo że teraz schodziła ze wzgórze, droga wydawała się jej o wiele bardziej męcząca.

A była taka szczęśliwa, sądziła, że zaczęło się dla niej nowe, wspaniałe życie. Gdyby nie ten mężczyzna ze swoimi ohydnyimi potworami... To przez niego się spóźniła i przez niego spotkała na swojej drodze pannę Rafael. Gdyby nie spowodowane przez niego nieszczęścia, wracałaby teraz dumna i szczęśliwa, że ma tę obiecującą pracę. A tak, witaj Marstoke z powrotem; witajcie rubryki z zatrudnieniem, witajcie plotki o tym, kto z kim sypia i kto kogo rzucił. I wreszcie witajcie marzenia o następnej ciekawej pracy; za tydzień, miesiąc, a może rok.

Mimo, że sklep już otwarto, mały placzyk był „martwy” jak wtedy, gdy wysiadła z autobusu. Kilka kobiet z koszykami, wypełnionymi zakupami, żarliwie o czymś dyskutowało.

Ktoś rozlepił plakaty informujące o kolejnym spotkaniu kółka kobiecego. Jakiś staruszek strzygł trawnik wielkości chusteczki do nosa. Usiadła na ławeczce, aby

zjeść pasztecik i wypić napój, który kupiła w sklepie. Nagle uświadomiła sobie, że jest w centrum uwagi. Pewnie nie dlatego, że jadła, ale że był to wyjątkowo skromny posiłek.

Rozglądając się za koszem na śmieci, do którego mogłaby wrzucić opakowanie po jedzeniu, nie zauważyła mężczyzny przemierzającego szybkim krokiem plac w kierunku miejsca, w którym siedziała.

– Dlaczego nie stawiałaś się na rozmowę w sprawie pracy?

Podskoczyła jak rażona prądem.

– To znowu pan.

– Zadałem ci pytanie.

– Dlaczego miałoby to pana interesować?

– Bo czekam na ciebie od przeszło godziny.

– Czekał pan na mnie? To pan jest...

Psy przycupnęły za nim pokornie i machając ogonami wyrażały zadowolenie, że znowu ją widzą.

– To pan jest Christopherem Bladonem?

– We własnej osobie. Więc mam chyba prawo zapytać, dlaczego nie przysłaś.

– Bo... – łapczywie wciągnęła powietrze do płuc, jak ryba, którą ktoś nagle wyciągnął z wody – bo to przez pana spóźniłam się na spotkanie z...

Bladon uśmiechnął się. Drobne, białe smugi pod oczami spowodowały, że kiedy się śmiał, jego szczupła, opalona twarz traciła swoją agresywność.

– To najbardziej przewrotna historia o jakiej słyszałem – powiedział. – Może usiądziemy i pogawędzimy o tym.

Dłoń, która wsunęła się pod łokieć Weroniki, była wąska, z długimi palcami i szorstka. Mimo, że prowadził ją delikatnie w stronę ławeczki przy krzyżu, czuła, że gdyby chciał, zamknąłby jej ramię w stalowym uścisku.

– Czekałem na ciebie. Gdzie byłaś?

– Oszukał mnie pan.

– Chciałabyś, żebym od razu powiedział ci, kim jestem?

– Tak, bo – skąd mogłam wiedzieć?

– Trzeba było przyjść do Priory, tak jak się umówiliśmy.

– Pan wiedział od samego początku, kim jestem?

– Może nie od razu, ale szybko się domyśliłem. Przecież nie co dzień przyjeżdżają do Hinton Priors piękne, długonogie blondynki.

Weronika nachyliła się, aby pogłaskać psy. To nagłe zainteresowanie ich psimi mordami, wyraźnie je zaskoczyło.

– No dobrze, przyznaję, że bardzo chciałem zobaczyć twoją minę, kiedy odkryjesz prawdę. I co się stało? Boisz się?

– Nie, skądże... może trochę.

Tym razem postanowiła być roztropna. Bo jak tu powiedzieć dopiero co poznanemu mężczyźnie, że jego dziewczyna nie jest nic warta?

– Dzięki panu spóźniłam się i wyglądam jak nieboskie stworzenie. Spodziewałam się, że pańska propozycja pracy okaże się bardziej konkurencyjna. Pomyliłam się. Szkoda tylko mojego czasu.

– Jesteś tego pewna?

– Tak.

Kit Bladon był jej wzrostu i kiedy zajrzał jej głęboko w oczy, wprowadził ją w zakłopotanie.

– Weroniko – powiedział cicho i spokojnie. – Nie należę do tych zarządców, którzy nie wiedzą, jak się mają sprawy w ich stajniach. Nie dzieje się tu nic, o czym bym nie wiedział. Szybko się o tym przekonasz, kiedy trochę u mnie popracujesz.

Zamurowało ją, czuła, że naprawdę wiedział o wszystkim; gdzie była, co mówiła. To było niezwykle.

– Kiedy mam zacząć?

– W poniedziałek, zgoda? Pokiwała twierdząco głową.

– Ale przecież pan nic o mnie nie wie.

Tym razem roześmiał się głośno, co sprawiło, że sklepikarz, zajęty zwijaniem kolorowego daszka nad witrynę sklepową, obejrzał się z zaciekawieniem.

– Wiem wszystko, co powinienem wiedzieć, panno Weroniko Jordan, lat dwadzieścia trzy, ze stadniny Fosdale'a w Berkshire. To wiem z twojego listu. Z innego źródła wiem, że David Fosdale jest bankrutem. Wiem też, że jesteś ambitna, lojalna, nie boisz się ciężkiej pracy i że wiesz, czego chcesz. Sama widzisz, że nasza rozmowa nad rzeką nie była stratą czasu.

– Przecież nie rozmawialiśmy o pracy.

– Mylisz się. Cały czas to robiliśmy, choć o tym nie wiedziałaś. To przypadkowe spotkanie bardziej ci pomogło, niż to sobie wyobrażasz.

– Nieładnie pan postąpił. Tak mnie podejść!

– Nie zgadzam się z tobą. O to właśnie chodziło. Zachowywałaś się naturalnie i to co zobaczyłem, bardzo mi się spodobało.

Weronika przypomniała sobie o rozpiętej do pasa bluzce i na nowo oblał ją rumieniec.

– Ale wtedy nad rzeką nie byłem jeszcze zdecydowany, dopiero kiedy stanęłaś w obronie konia, ryzykując utratę nowej posady, klamka zapadła. Może brak ci czasami taktu, ale cóż, nikt nie jest święty. Od poniedziałku więc ostro do pracy, zgoda?

– Jak pan sobie życzy, panie zarządcu.

Kiedy autobus ruszył z przystanku, Weronika jak dziecko przycisnęła twarz do szyby. Miała nadzieję, że Bładon stoi i patrzy jak ona odjeżdża. Zobaczyła tylko jego plecy. Szedł wolno, stawiając duże kroki, a psy posłusznie dreptały tuż za nim.

## Rozdział 2

Kit Bladon mówił, że nic nie umknie jego uwadze. Weronika przekonała się o tym już pierwszego ranka. Do pracy stawiała się dokładnie o szóstej trzydzieści. Dziedziniec tętnił życiem.

Bob Fuller skinął głową na jej widok.

– Miło cię widzieć – powiedział. – Będziesz pracowała z Jackie – wskazał kciukiem na pulchną dziewczynę. – Resztę osób poznasz, kiedy zarządca zakończy obchód. Będziemy mieli na to dużo czasu.

Sprawdzanie obejścia rzeczywiście przypominało szpitalny obchód. Po półgodzinnej energicznej pracy, polegającej na zamiataniu, wożeniu napełnionych taczek i wyrzucaniu nieczystości szuflami, chłopcy stajenni ustawiali się rzędem przed końskimi boksami.

Patrząc jak Bladon zagląda w każdy kąt, nie zdziwiłaby się, gdyby nagle założył biały kitel lekarski i powiesił sobie na szyi słuchawki. Fuller kroczył obok niego jak zlékniona siostra oddziałowa.

Ten obraz wywołał uśmiech na jej twarzy, a kiedy Bladon podszedł do niej i odpowiedział uśmiechem, o mało nie zemdląła. W domu, po powrocie z Priory, próbowała przekonać siebie, że nie może istnieć mężczyzna tak przystojny i gibki, o błękitnych oczach przyozdobionych długimi rzęsami, o jakim dziewczyna mogłaby tylko marzyć. I dzisiaj, kiedy wstała rano do pracy, była pewna, że był jedynie tworem jej wyobraźni, ale teraz, kiedy się uśmiechnął, świat przewrócił się do góry nogami. Powiedział tylko:

– Witaj w Priory, Weroniko – i zagadnął Jackie stojącą obok:

– Jak się ma twój podopieczny?

Oboje zniknęli w boksie, gdzie wypytywał o szczegóły związane z opieką nad koniem. Potem wyszedł i skierował kroki do następnego boksu, a dziewczyna wróciła na swoje miejsce, obok Weroniki i ku jej zaskoczeniu westchnęła i szepnęła do niej:

– On jest boski.

Miała nadzieję, że rozmarzony wzrok jaki widziała na twarzy Jackie, nie przypominał jej własnego.

Kit rozmawiał ze wszystkimi stajennymi, obejrzał każde zwierzę. Wiedział, co wydarzyło się w jego gospodarstwie przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Oni wszyscy wiedzieli, że on wiedział.

Dziesięć minut później, Weronika była już w siodle, wśród idących gęsiego kucyków. Za bramą pojechała w kierunku oddalonego paddock'u, a stamtąd na wyżynę. Zwierzęta posłusznie dreptały po kredowo-białej i stromej ścieżce do urwiska, gdzie rosła niska trawa, przyozdobiona maleńkimi, dzikimi kwiatkami.

Weronika jechała zbyt szybko, aby je rozpoznać. Na szczycie konie przeszły w galop, a zaraz potem rozjechały się na wszystkie strony.

Weronika usadowiła się wygodnie w siodle. Nie była przyzwyczajona do lekkiej budowy ciała kucyków i do siły, z jaką przyspieszały kroku. Jechała po soczystej trawie, a lekki wiatr wymiatał kosmyki włosów spod jej ciężkiego, płóciennego nakrycia głowy i delikatnie smagał jej opaloną twarz. Wysoko nad nimi rozśpiewał się skowronek, a jego pieśń zagłuszał tętent setek końskich kopyt.

Kit Bladon jechał na przodzie. Podziwiała jego zgrabną sylwetkę. Wyglądał na koniu jak centaur, zmuszając konia do posłuszeństwa lekkimi, prawie niezauważalnymi ruchami nóg, które w bryczesach wyglądały na dłuższe i muskularniejsze, niż wtedy, gdy oglądała je w dżinsach.

Choć nie był to wyścig, czuła nieodpartą ochotę, aby go dogonić i jechać z nim głowa w głowę, po płaskiej jak stół bilardowy łące. Czuła, jak jej serce wypełnia radość. Jest przecież młoda, zdrowa, a wokół rozpościera się świat skąpany w letnim słońcu.

Kiedy ich konie zbliżyły się do siebie, Kit przełożył uzdę do prawej ręki, a lewą pomachał jej. Jechali tak przez kilkaset jardów i, mimo odgłosu kopyt, Weronice zdawało się, że są sami, jakby w mydlanej bańce, której tęczowe ścianki zamykają w sobie ich radość.

Z dala zobaczyła, że dojeżdżają do szczytu, za którym rozciągało się strome zbocze. Mieli do wyboru: albo je ominąć, albo zawrócić. Posmutniała na samą myśl o powrocie, ale pocieszyła się zaraz, że tak będzie wyglądał każdy jej poranek. Codziennie przecież będzie spotykać się z Kitem.

O dziewiątej piętnaście, kilkoro zgłodniałych ludzi zgromadziło się w kuchni, aby zjeść śniadanie. Trudno było po kilku godzinach ciężkiej pracy, oprzeć się zapachowi przyrządzanych dań. Na kamiennej, spękanej posadzce stał długi stół. Wokół słychać było stukot butów zasiadających do stołu parobków. W głębi kuchni stała, zajęta układaniem jedzenia na tacach, jej nowa, nieco przysadzista gospodyni, pani Dowse.

Po raz drugi tego ranka Weronika pomyślała sobie, że niewymowne szczęście uśmiechnęło się do niej. Ona i pani Dowse, kiedy spotkały się zeszłego wieczoru, bardzo sobie przypadły do gustu. Zaraz po przyjeździe pani Dowse zaprowadziła ją

(na stację pojechał po nią jeden z pacholków) do małego pokoiku, który miał na jakiś czas zastąpić jej własny dom.

Kiedy wzięła do ręki nóż i widelec, usłyszała, jak Jackie jęknęła:

– Matko najświętsza – oczy dziewczyny utkwione były w jej talerzu – boczek, kiełbasa, grzyby, ziemniaki, chleb i dwa jajka. Masz zamiar to wszystko zjeść?

– Jestem głodna – Weronika uśmiechnęła się – należy nam się po ciężkiej pracy.

– Ale gdzie ty to wszystko zmieścisz? Ja to co innego, spójrz tylko na mnie.

Weronika bardzo polubiła tę pulchną dziewczynę, z prostymi, mysiego koloru włosami, z okrągłą jak słońce twarzą.

– Tak naprawdę, to wcale nie jestem szczupła – Weronika odpowiedziała jej robiąc przy tym poważną minę – jestem tylko wyższa, przez co ciało jest bardziej rozciągnięte.

Jackie roześmiała się jak dziecko.

– Mówią, że jestem jak moja babka – pokiwała znacząco głową do pani Dowse, która napęniała okazałych rozmiarów imbryk, lejąc do niego wodę z jeszcze większego czajnika.

– Jesteś przemiłą dziewczyną – odparła Weronika.

– My tu jesteśmy jak jedna, wielka rodzina. To mała wioska. Pan Fuller jest moim wujem, choć w pracy tak się do niego nie zwracam. Dave, ten który przywiózł cię wczoraj ze stacji, jest moim kuzynem, podobnie jak Tim i Mike, siedzący teraz po przeciwnej stronie. Mam kilku młodszych braci, chodzą jeszcze do szkoły. Pewnie za kilka lat będą tu pracowali, tu albo na farmie Priory, której właścicielem jest również pan Bladon.

– Zdaje się, że Priory nie mogłoby bez was istnieć?

– Nie, jest zupełnie odwrotnie. Ciężko byłoby żyć w wiosce bez Priory. W okolicy trudno o posadę, nawet autobusy do Deviz jeżdżą poza godzinami, w których rozpoczyna się lub kończy pracę. Zajęcie tu oznacza otwarty sklep, w którym możemy robić zakupy i szkołę, do której możemy chodzić – tak mówi Bob – zakończyła pospiesznie. Zapewne dotarło do jej świadomości, że mówi dłużej niż zwykle.

„Mężczyzna, od którego zależał los całego Wiltshire” – pomyślała Weronika. To tylko dodaje splendoru Kitowi Bladonowi. Są setki ludzi, dla których praca w jego gospodarstwie wiele znaczy. Próbowwała pospiesznie wyliczyć koszty utrzymania – setki kucyków do gry w polo, płace dla stajennych, posiłki. Liczba, którą otrzymała, wymagała dobrych kilku zer. Skąd on ma tyle pieniędzy?



Przez kilka następnych dni pracy Weronika próbowała przyzwyczać się do reguł, jakich należało przestrzegać, aby pozostali pracownicy mogli ją zaakceptować.

O szóstej zwierzęta dostawały swój pierwszy posiłek. O siódmej stajnie, wysprzątane do czysta z nawozu, czekały na obchód zarządcy. Następnie obfite śniadanie, poprzedzone trwającymi godzinę ćwiczeniami.

Po śniadaniu kucyki dokładnie czyszczono i karmiono sianem, aby zmęczone mięśnie odzyskały swoją elastyczność. Na koniec wycierano je do sucha bawełnianymi szmatami, póki skóra nie odzyskała połysku. Drugi posiłek stanowiło specjalnie przygotowane przez panią Dowse pożywne danie, które miało wzmocnić zwierzęta po fizycznym wysiłku i dodać im sił na popołudnie.

O tej porze roku, w czasie gry w polo, Bladon każdego popołudnia zabierał cztery kuce do swojej drużyny i szkolił je na boisku za domem. Tylko kilku stajennych uczestniczyło w tych zajęciach, pozostali brali się ostro do pracy, bo były miliony drobiazgów, z którymi należało się uporać.

Do czwartku, Weronika wszystkie popołudnia miała zajęte czyszczeniem uprząży, oraz poidel i naczyń, w których karmi się zwierzęta. Usuwanie nawozu też należało do jej obowiązków. Ta ostatnia czynność, wykonywana w majowym upale, tak ją wykończyła, że tylko myśl o chłodnej, kojącej kąpieli dodawała jej sił podczas kolacji.

Za bramą, do której zbliżyła się Weronika, stał mały, sportowy samochód. Za kierownicą siedziała kobieta, która wyraźnie czekała, aż ktoś otworzy wrota, aby ją wpuścić. Weronika pokiwała jej rękę, otworzyła szeroko bramę i kiedy samochód mijał ją, przyjrzała się kierowcy.

W zielonym, jedwabnym kostiumie, Bianka Rafael wyglądała wytwornie i dystyngowanie. Weronika po raz pierwszy widziała ją bez nakrycia głowy. Była prześliczna. Lśniące kruczoczarne włosy leżały na jej ramionach, a delikatna, oliwkowa cera była bez skazy. Olbrzymie oczy błyszczały niczym polerowany marmur. Wąskie, zadbane dłonie lekko przytrzymały kierownicę. Mając świeżo w pamięci jej akcent, Weronika mogłaby przysiąc, że dziewczyna była Włoszką lub Hiszpanką.

W porównaniu z Bianką Rafael, Weronika przedstawiała widok godny pożałowania; poplamione bryczesy i brudne buty. Kątem oka widziała plamę na czubku nosa. Ręce zaś miała szorstkie od pracy fizycznej. „Ta utarczka z nią zdarzyła się z mojej winy” – pomyślała. „Byłam rozdrażniona i szukałam zaczepki. Nie powinnam traktować jej jak wroga”.

Kiedy samochód przejeżdżał obok niej, uśmiechnęła się i rzekła:

– Dobry wieczór.

Dziewczyna nawet nie spojrzała na nią. Weronika myślała, że może obrzuci ją obojętnie wzrokiem, może się uśmiechnie. Nie zrobiła tego. W odpowiedzi nacisnęła gaz i odjechała.

Z początku jej zachowanie porządnie rozzłościło Weronikę, ale potem wzruszyła ramionami i rzekła do siebie:

– Jeżeli nie zależy jej na przyjaźni ze mną, to jej sprawa. Jest mi to obojętne. I tak rzadko się spotykamy.

Weronika spojrzała w matowe lustro, wiszące w łazience. Próbowwała porównać swoje odbicie z wyglądem Bianki Rafael. Starła ręką parę z powierzchni zwierciadła. Jej czyste, błękitne i ozdobione długimi rzęsami oczy zauważały jedynie niedoskonałości. Widziała je nawet w delikatnych rysach twarzy, kształtnym podbródku i brwiach odcinających się czernią od złotych pasemek włosów nad czołem, nie wspominając już o śmiejących się ustach. Ze złością wyjęła z włosów słomę.

– Jestem jak snopek siana – zamruczała gniewnie i za chwilę wybuchnęła śmiechem. Jednak gdzieś w środku czuła, że nie może liczyć na zainteresowanie Kita Bladona, skoro posiada on tak piękną narzeczoną.

Następnego dnia, kiedy bandażowała kucowi pęciny, do stajni zajrzał Bob Fuller.

– Weroniko, chcę żebyś była obecna przy ćwiczeniach kuców na boisku, dzisiejszego popołudnia – powiedział.

– Z przyjemnością, panie Fuller.

– Jackie pojedzie z tobą i weźmiecie ze sobą powrozy. Chcę, żebyś jechała na Gasparze i prowadziła za sobą Blenheim'a. Jackie zaś ma dosiąść Venus i prowadzić Gemini.

Zrobił przerwę i przyglądał się, jak zgrabnie bandażuje kucowi kolejną nogę, starając się aby opaska należycie uciskała pęcinę.

– Doskonale sobie radzisz, Weroniko – zauważył Bob. – Zarządca miał rację zatrudniając cię.

Kiedy odszedł, zastanawiała się, czy kiedykolwiek podzieli się tą opinią z Kitem Bladonem.

Boisko do gry w polo leżało po drugiej stronie budynku z czerwonej cegły, z okresu panowania Królowej Anny. Miało kształt amfiteatru, na który rzucały cień wiekowe kasztany.

Weronika i Jackie wjechały na boisko szybkim klusem. Zatoczywszy koło, zostawiły kuce uwiązane do balustrady, w cieniu drzew. Jackie pokazała Weronice narzędzia, spakowane równiutko w bagażniku Landrovera, którym przyjechała tu wcześniej.

– Paliki, skórzane uzdy, lejce – wyliczała – przyrządy do czyszczenia, gąbki, wiadra na wodę, gwoździe do podków, ręczniki do wycierania potu z kuców, a ponieważ czeka je mecz wyjazdowy – worki pełne siana.

Wyjęła paliki i niosąc je do miejsca, w którym stały zwierzęta, dodała:

– Nie wszystkie narzędzia są nam dzisiaj potrzebne. Zabrałam je tak na wszelki wypadek, bo podczas meczu bywa gorąco. Zresztą wszyscy zachowują się, jakby najedli się szaleju, a już najbardziej Patrick.

– Patrick?

– Niedługo go poznasz.

Tylko skończyła mówić, kiedy na boisko wjechały dwa inne Landrovery, a z domu w kierunku samochodów ruszyły dwie postacie jednakowego wzrostu.

Weronika nie potrzebowała widoku dwóch czarnych psów, aby wskazać Kita. Rozpoznałaby jego prężne ciało i spokojny chód wśród milionów innych.

Ten drugi mężczyzna znacznie różnił się budową ciała. Kiedy się zbliżyli, zauważyła, że jest dość krępy i ma tendencję do tycia. Jego kędzierzawa, rudoblonde czupryna, wyraźnie kontrastowała z czarnymi jak heban i prostymi włosami Kita.

– Dwóch z budynku i dwóch z Landrovera to razem czterech – zauważyła Weronika.

– Zgadza się. To cała nasza drużyna z Priors. Nie są może jeszcze najlepsi, ale wysoko zajdą.

– Cieszę się, że cię tu widzę, Weroniko – Kit przywitał się z nią i widać było, że jego radość ze spotkania była szczerą.

– Pozwól, że ci przedstawię naszą drużynę: Richard Stillbrok, David Hay oraz Patrick Gilpayne – nasza znawczyni koni, panna Weronika Jordan.

Tych dwóch pierwszych prezentowało się przyjemnie, byli zapewne farmerami. Świadczyły o tym ich ogorzałe twarze. Patrick Gilpayne natomiast wyglądał o wiele korzystniej. Być może jej osąd był podyktowany opinią Jackie, przepełnioną niebiańskim zachwytem. Ale musiała przyznać, że sposób w jaki lustrował ją od stóp do głów, wcale nie przypadł jej do gustu. Długo prześwietlał swoimi zimnymi oczami jej włosy, ciało, a potem nogi, zanim wyciągnął rękę w geście powitalnym.

– Witaj, Weroniko.

Z dziwną niechęcią podała mu swoją dłoń. Trzymał ją podejrzanie długo i chował wzrok, kiedy próbowała spojrzeć mu w oczy. Jakby w samoobronie spojrzała na stojącego za nim Kita.

Wyraz jego twarzy przeraził ją. Łagodny uśmiech, który rozweselał jego raczej posępną twarz, znikł gdzieś bez śladu. Dwie zwięzłe źrenice i zaciśnięte, wąskie usta w niczym nie przypominały bliskiego jej sercu Kitona. Za jego gniew, w jakimś irracjonalnym impulsie, obwiniała siebie.

Nerwowo próbowała uwolnić dłoń z ciepłego i wilgotnego uścisku Gilpayne'a. On jednak przytrzymał ją jeszcze przez moment, co wystarczyło, aby Kit gwałtownie odwrócił się do niej plecami.

Jej poczucie winy i zakłopotanie ustąpiły miejsca fascynacji, z jaką oglądała ćwiczenia z kucami. Doskonale rozumieli się nawzajem. Byli wspaniałą, zgraną jak jeden mąż drużyną.

Rozpoczęli jazdę wokół okręgu, wykonując ostre zakręty z takim natężeniem, że mogli przejechać po powierzchni o średnicy przysłowiowego pensa. Następnie kontynuowali jazdę w koło, tylko że już w przeciwnym kierunku. Weronika podziwiała zwinność zwierząt i to jak posłusznie reagowały na każdą komendę. To był nieznan jej styl jazdy. Zapragnęła poznać wszystkie jego tajniki.

Po rozgrzewce jeźdźcy rozpoczęli bardziej forsowne ćwiczenia. Jechali w jednej linii zmieniając co chwilę kierunek, nie spuszczali jednak ani na chwilę oczu z zawodnika nadjeżdżającego z przeciwka. Potem cwałowali ramię przy ramieniu, dzielili się na pary, a następnie całą czwórką zataczali okrąg.

Weronika nie mogła wyjść z podziwu nad lekkością z jaką zawodnik jadący po wewnętrznej stronie, zmieniał położenie w każdym z rogów, umożliwiając tym samym zawodnikowi jadącemu po zewnętrznej linii nagłe przyspieszenie. Jej zachwyt wzbudzała też płynność, z jaką dokonywali każdego manewru.

Kit oderwał się od reszty i zbliżył się do miejsca, w którym stała.

– Chodź, przyłącz się do nas. Będziesz nam potrzebna.

Zwinnie zsunął się z grzbietu kuca, aby pieszo wrócić z nią na środek boiska. W paru słowach wytłumaczył jej o co mu chodzi.

– Tylko na pewno krzyknij – dodał. – Najgłośniejsz jak tylko potrafisz, tak abyśmy cię usłyszeli.

Była bardzo podekscytowana, kiedy znalazła się obok jeźdźców, ustawionych na centralnej linii boiska. To było jej miejsce. Przecież nie była tylko końskim parobkiem, potrzebnym jedynie do czyszczenia stajni. Należała do drużyny i wiedziała, co to dobra gra. Kitowi jako kapitanowi drużyny dała najwyższe noty.

Trening rozpoczął Richard Stillbrok. Po przekątnej pogalopował przez murawę w kierunku lewego, górnego narożnika. Kiedy był w połowie drogi, Weronika krzyknęła najgłośniejszym głosem, jak tylko mogła:

– Spójrz na mnie!

Jeździec obejrzał się za siebie, w kierunku dziewczyny, nie zwalniając nawet na moment. Pozwoliła mu jeszcze zbliżyć się odrobinę i wtedy ponownie krzyknęła:

– Skreć!

W ułamku sekundy, kuc skrecił o całe 180 stopni i rzucił się cwałem w kierunku prawego dolnego rogu, skąd rozpoczął bieg.

Weronika rozpoznała jeźdźców po tym, jak poruszali się w siodle. Richard Stillbrok i David Hay byli solidnymi i godnymi zaufania zawodnikami. Zapewne zawsze podejmowali właściwą decyzję, choć brakowało im sprytu. Kit był zupełnie inny. Kiedy przyszła kolej na niego, przeleciał galopem po przekątnej, a słysząc wołanie Weroniki obrócił się w siodle z gracją i nawet na moment nie spuścił z niej oka w drodze powrotnej do miejsca startu.

– Niezły, co? – usłyszała za sobą głos z australijskim akcentem.

– Widzę, że zrobił na tobie wrażenie. Wypisz, wymaluj, widać to na twojej twarzy. Wierz mi, znam się na tym.

Wziął ją pod rękę. Jego uścisk miał siłę pytona. Tłumaczyła sobie, że jest to tylko gest przyjaźni z jego strony, ale mimo braku doświadczenia czuła, że się myli. Utwierdziła się w tym przekonaniu, kiedy Gilpayne mocno przytulił ją do siebie. Próbowała się uwolnić, czując jak krew napływa jej do twarzy, zmieniając kolor skóry na szkarłatno-purpurowy.

– W porządku – zwolnił uścisk. – Kolejna ofiara namiętności. Żebyś potem nie mówiła, że cię nie ostrzegałem. Kit ma po dziurki w nosie kobiecego uwielbienia. Przestało mu już na tym zależeć. Zapytaj Jackie – ona ci powie to samo.

Po tym co usłyszała, nie mogła jakoś spojrzeć Kitowi w oczy. Wszystko straciło dla niej sens, zdawało się, że bezpowrotnie. Nawet jego uśmiech o którym myślała, że tylko dla niej jest przeznaczony, wydał się jej w tej chwili obcy.

Kiedy po treningu dziękował jej za pomoc, coś tam zamruczała w odpowiedzi, nie przerywając pracy. Bała się, że nie wytrzyma jego badawczego spojrzenia. Czy w ten sposób patrzył na każdą kobietę? Czy to, jak się do niej uśmiechał, dziękował jej, przymilał się, było podyktowane tylko dobrymi manierami?

A może miał mnie za kolejną dzierlatkę, pałającą do niego cielecą miłością? Wprost wymarzony obiekt żartów.

– Dobierał się do ciebie, co? – zagadnęła ją Jackie, kiedy wracały do stajni.

– Kto? Kiedy? Wybacz mi, Jackie, właśnie myślałam o czymś innym.

– Patrick Gilpayne. Ostrzegałam cię przed nim. Jest nieobliczalny.

– No cóż, nie lubi trzymać rąk przy sobie, to prawda.

– Nie o ręce mi chodzi, lecz o wyjątkowo cięty język. Jak coś powie, to zanim się obejrzysz, już będzie po tobie.

„Zapytaj Jackie” – mówił. Weronika rozpaczliwie szukała słów, aby dać zadawalającą odpowiedź na cisnące się do głowy pytania. Kit był przystojnym mężczyzną, ale czy aż tak próżnym i płytkim, że nie potrafił odróżnić zauroczenia od miłości?

To ostatnie wyznanie sprawiło, że świat zawirował jej przed oczami. Przecież dopiero co go poznała. Takie rzeczy zdarzają się jedynie w książkach, ale nie w prawdziwym życiu. Wykluczone! Jednak coś w głębi serca mówiło jej, że się myli.

### Rozdział 3

„Kłopot w tym – rozmyślała Weronika, odwiązując uzdę – że jest rzeczą prawie niemożliwą, aby uniknąć spotkania z zarządcą w takim miejscu jak to. „

Rozłożyła rzemienie na stole i gąbką zmoczoną w ciepłej wodzie zaczęła ścierać resztki błota, piasku i potu, aby zapobiec stwardnieniu skóry i gniciu szwów. Robiła to systematycznie i dokładnie. Mogła przy tym swobodnie rozmyślać, jako że miała dużą wprawę w wykonywaniu tego rodzaju czynności.

W każdej chwili może ukryć się w pustym boksie, gdyby tylko zauważyła, że nadchodzi Kit. Mogła też na ochotnika zgłosić się do pierwszej lepszej roboty, żeby tylko nie pojechać z nim na boisko dla kuców.

Ale był taki moment w ciągu dnia, że nie mogła przed nim uciec – codzienny ranny obchód o godzinie siódmej. Musiała stać przed boksem i czekać, aż się łaskawie pojawi.

Ze ściśniętym sercem czekała, co się może zdarzyć. Od chwili, kiedy sucho odpowiedziała na zwykle pozdrowienie Bładona, unikając przy tym jego wzroku, minął prawie tydzień.

„Jak długo to potrwa?” – pytała rozpaczliwie samą siebie.

„To się musi zmienić. „

Dni, kiedyś rozpromienione nadzieją, teraz wlokły się bez końca. Próbowwała odzyskać radość, jaka wypełniała jej serce podczas pierwszej przejażdżki pamiętnego ranka. Była pewna, że między nimi nastąpiło jakieś tajemne porozumienie, o wiele cenniejsze od słów.

Niestety, w wyniku podstępnych sugestii Patrica Gilpayne’a, coś w niej pękło. Jego słowa kładły się posępny cieniem na jej szczerych uczuciach. Patrząc obiektywnie, to co powiedział, nie było potworne, może odrobinę gruboskórne, ale w połączeniu z dopiero co zrodzonymi uczuciami wywoływało uzasadnione wątpliwości.

Niewinna i prawdziwa miłość została skalana nierozważnymi insynuacjami.

Nagle zdała sobie sprawę, że za mocno pociera ściereczką rzemienie, co sprawia, że piana powstała wskutek gwałtownych ruchów rąk przeszkadza jej w dalszej pracy. To ostudziło jej wzburzone myśli.

– Dosyć na dzisiaj, czas na przerwę – zza niedomkniętych drzwi dobiegł ją głos Boba Fullera. Wszedł do środka, trzymając w ręku siodło. Przesunął swoją tweedową czapkę na tył głowy.

– Wszystko w porządku, Weroniko?

– Oczywiście, panie Fuller – jej odpowiedź nie brzmiała przekonywująco nawet dla niej samej.

– Jak tam pani Dowse, przypadłyście sobie do gustu?

– Na pewno. Jest bardzo miła.

Weronika z przerażeniem stwierdziła, że aby posprzątać bałagan, który narobiła, musiałaby chyba zacząć prace od początku. Zrozpaczona, zaczęła ścierać brudną pianę z kamiennej posadzki.

– Powiedziałem, że koniec na dzisiaj. Chyba wyraziłem się jasno? – powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Oparła miotłę o ścianę. Nie zdążyła jeszcze odejść, kiedy miotła obsunęła się, uderzając ją kijem po kostkach. Podniosła miotłę i z dziką satysfakcją wsadziła ją w sam środek kałuży.

Kiedy Bob jeszcze raz do niej przemówił, jego głos nie brzmiał już tak stanowczo.

– Nie masz chyba zamiaru od nas odejść, Weroniko?

Do tej pory podobna myśl ani przez moment nie zaświtała jej w głowie. Może ukryta gdzieś w głębi serca czekała na odpowiedni moment, ale póki co nie mogła przecież ujawnić Fullerowi źródła swojego nieszczęścia. To było coś, z czym musiała uporać się sama.

– Nie mam – odpowiedziała niepewnie.

Przesunął czapkę jeszcze dalej na tył głowy i podrapał się w łysiejącą czaszkę.

– Rozumiesz, Weroniko – nie znam się na tych sprawach, ale... co ja chciałem powiedzieć? Jeżeli jest coś, o czym chciałabyś porozmawiać z inną kobietą, idź do pani Dowse. Będzie tym uszczęśliwiona. To mimo wszystko mądra kobieta.

Popatrzył na swoje buty do konnej jazdy i starł z nich nieistniejący pyłek. Wzruszył ją tym.

Bardziej niż ona sama był zakłopotany tą rozmową. Czuła, że wiele wysiłku kosztowało tego statecznego i niemłodego już mężczyznę nawiązanie z nią rozmowy.

– Dziękuję panu, ale nic mi nie jest – zapewniała go, mając przy tym nadzieję, że powiedziała to przekonywująco.

Nacisnął czapkę z powrotem na czubek głowy. Nadal stał, widać było, że jest z siebie zadowolony.

– Rozumiem, dzięki, Bob.

Poklepał ją po ramieniu ciężką, spracowaną dłonią i rzekł:



– Zrób coś dla mnie. Idź do domu i zapytaj panią Dowse, czy zarządca mówił jej, że przy kolacji będzie więcej o dwie osoby. Znając go, na pewno zapomniał. Leć już, a ja tu za ciebie posprzątam.

Traktował ją, jakby była jedną z jego siostrzenic. Mijając bramę oddzielającą dziedziniec od domu, myślała: „Teraz rozumiem, dlaczego Jackie tak bardzo go kocha i szanuje. „

Kuchnia był pusta, ale w powietrzu unosił się jeszcze aromatyczny zapach potraw. Zawołała raz, może dwa razy, ale nikt jej nie odpowiedział.

Na marmurowej półce w spiżarni stał owalny półmisek z łososem w galarecie i rukiew wodna, przygotowana, aby go przyozdobić. Na dolnej półce stała nadziewana kaczką, jeszcze ciepła, opieczona na złoty kolor. To oznaczało, że pani Dowse nie mogła być daleko. Wahając się otworzyła następne drzwi. Na końcu ciemnego, wyłożonego kamiennymi płytami korytarza widać było światło. Jednak wokół było cicho. Wołając panią Dowse doszła do holu. Był wysoki i jasny. Z dwóch dużych okien biło jasne światło.

Podłoga wykonana była z czarno-białego marmuru i czuło się od niej przyjemny chłód po upale, jaki panował w kuchni. Prócz dwóch nakrytych stołów pod złożonymi lustrami, hol był pusty. Jednak nie wymagał dekoracji – wystarczały marmurowe kolumny i kręcone w górę schody z delikatnymi balustradami.

Weronika czuła się niezręcznie, jak intruz. Otworzyła kilka kolejnych drzwi. W jadalni stał długi, mahoniowy stół, nakryty obrusem, na którym leżały srebra i stały kryształ.

Za następnymi drzwiami był salon ze starymi kobiercami z Aubusson. Na oknach wisały nieco już spłowiałe, jedwabne, różowe zasłony. W rogu stały dwie długie kanapy, z misternie rzeźbionymi nogami, obite ciemnozielonym aksamitem. Teraz odrobinę podniszczone, ale zapewne od pokoleń są miejscem wymarzonego odpoczynku.

Kolejne drzwi prowadziły do gabinetu. Urządzony był funkcjonalnie, z półkami pełnymi książek. Pod oknem stało biurko z pięknie ozdobionymi bokami. Imitowało mebel z okresu królowej Wiktorii. Widać było, że jeszcze przed chwilą urzędował tu Kit. Księgi rachunkowe leżały otwarte, a papier listowy zapisany był świeżymi, czarnymi literami, podobnymi do tamtych, jakie pamiętała z listu od niego.

Kalkulator był nadal włączony, a pióro leżało bez obsadki.

Stary Chaka uniósł w geście powitalnym swoją szarą mordę i z powrotem

zapadł w drzemkę.

Wyglądało na to, że Kit opuścił gabinet w pośpiechu i zapewne jest gdzieś w pobliżu.

Z góry dochodził odgłos pracującego odkurzacza i charakterystyczny stukot, jaki wydawały pantofle pani Dowse. Weronika zawahała się.

W pomieszczeniu, w którym obecnie przebywała, mogła więcej niż gdziekolwiek indziej dowiedzieć się na temat Kita. Wolną przestrzeń między półkami zapełniły jego zdjęcia. Tłumiąc w sobie poczucie winy oglądała twarze starszków, prawdopodobnie jego rodziców, a może nawet dziadków. Na zdjęciach było wiele koni na tle Priory lub okolic. Na jednym z nich był mały Kit, miał nie więcej niż trzy lata i stał obok uroczego kucyka. Nawet w tym wieku miał już postać dojrzałego chłopca, bez dołków i okrągłej buzi charakterystycznej dla dziecka. Był smukły, silny, miał śmiejące się usta i zadziorne oczy.

Każda matka dałaby wiele, aby mieć takiego syna.

Wtedy właśnie usłyszała głosy dobiegające z korytarza. Były zagłuszone stąpaniem po kamiennej posadzce. Ktoś zbliżał się do gabinetu. W pierwszej chwili miała ochotę wspiąć się na okno. Jednak zrezygnowała. Gdyby ktoś przyłapał ją w połowie drogi, wołała nie myśleć, jakby się to skończyło.

Chwilę później mogła już zrozumieć poszczególne słowa. Należały do dwóch osób. Głos Bianki brzmiał przenikliwie i wibrująco, była czymś oburzona.

– Przez ciebie wyszłam na idiotkę! Jak śmiałeś tak ze mną postąpić?!

– Przeze mnie wyszłaś na idiotkę?

Weronika cieszyła się w duchu, że to nie do niej tak ostro zwraca się Kit.

– Przyjmujesz ludzi, którzy przewracają mój dom do góry nogami, a ja nic o tym nie wiem. I kto tu wychodzi na durnia, powiedz sama!

– Mówiłam ci, że to miała być niespodzianka.

– Dziękuję za takie niespodzianki. Ta kobieta, jak jej tam – Caroline, przyłapałam ją, jak myszkowała po domu z taśmą mierniczą.

– W tym domu od wieków niczego nie zmieniono; ogrzewanie i łazienki nadają się do muzeum.

– To nie tancbuda, gdzie dekoracje zmienia się co tydzień. To posiadłość rodzinna i nie pozwolę tu niczego tknąć!

– Kiedy będę tu... – przerwała. Czuła że zabrnęła za daleko.

– No skończ, na co czekasz? – głos Kita był spokojny.

– Chciałaś powiedzieć: Kiedy będziesz panią tego domu!

– Chciałam tylko...

– Tak czy nie? Uważaj, Bianco, nie myśl tylko, że po ślubie owiniesz mnie sobie wokół palca. Poślubisz mnie, z moim domem, tak jak on wygląda, wadami i cholera wie czym jeszcze, albo zapomnij o całej sprawie.

– Jak sobie chcesz – odparła ze złością.

Zaraz potem Weronika usłyszała odgłos jej oddalających się pośpiesznych kroków. Miała nadzieję, że Kit pobiegnie za Bianką, a ona nie zostanie zdemaskowana. Myliła się.

Kit podszedł do drzwi korytarza, zamknął je i wrócił do gabinetu. Zanim przemówił, dostrzegła złość w jego oczach.

– Nieźle się ubawiłaś, co, moja panno? Siedziałaś cicho, jak mysz pod miotłą.

– To nieprawda! – doskonale pan o tym wie. Nie miałam zamiaru podsłuchiwać tej waszej nędznej sprzeczki – jego oskarżenia bardzo ją zabolowały.

– Trzeba było dać znać, że tu jesteś.

– Może miałam dyskretnie odchrząknąć? Niech pan będzie rozsądny. Po co miałabym się tu ukrywać i narażać na kompromitację.

Jednak w głębi serca obwiniła się za całe zajście. Mogła opuścić gabinet, kiedy tylko usłyszała panią Dowse, jak krzątała się na piętrze.

– No cóż, stało się – rzekł. – Ale jeżeli kiedykolwiek dowie się o tym, co tu zaszło...

– Za kogo pan mnie uważa – prychnęła gniewnie.

– Za dużo mam pracy, żeby zajmować się plotkami. Proszę wybaczyć, ale czas na mnie.

Obróciła się na pięcie i z godnością – była o tym przekonana – podążyła w kierunku drzwi.

– Więc co tu robiłaś? – jego głos zatrzymał ją w połowie drogi.

– Patrzyłam, gdzie by tu coś zwędzić, a cóżby innego?

Drzwi, odbite od ściany pokrytej boazerią, uderzyły ją w piętę, w momencie kiedy wychodziła z gabinetu.

„Źle postąpiłam” – karciała siebie w myślach, kiedy pod koniec pracy zdejmowała ubranie robocze. Powinnam mu była wszystko wyjaśnić.

Nachyliła się nad wanną, aby sprawdzić, czy woda jest wystarczająco gorąca. Kran był pokryty rdzą, która nie uprzyjemniała kąpieli.

Po części była to jego wina. To on ją sprowokował do takiego zachowania. Był w takim nastroju, że wątpiła, czy przyjąłby jej tłumaczenia. To zrozumiałe. Po kłótni z Bianką chciał zostać sam i nie miał najmniejszej ochoty na rozmowę z inną kobietą.

– Próbujesz tłumaczyć, Weroniko – rzekła do siebie – niewłaściwe zachowanie jego i twoje, ale to do niczego dobrego nie prowadzi. – Ojciec często jej to powtarzał, kiedy była jeszcze małą dziewczynką. To, co zdarzyło się dzisiaj, było doskonałym przykładem na poparcie jego słów.

Zanurzyła ciało w letniej wodzie. Pani Dowse zużyła całą gorącą wodę na pranie. Leżąc, Weronika myślała o Biance Rafael... Ciekawe, czy kiedykolwiek kąpała się w ciepłej wodzie, koloru rdzy? Z pewnością nie. Ta kobieta żyła w innym świecie. W świecie, gdzie zamawia się projektantów wnętrz, aby urządzić dom w stylu królowej Anny.

Może woda w Priory w ogóle była rdzawa. Weronika zachichotała. Kit nie jest typem człowieka, który zwracałby uwagę na takie drobiazgi. Pewnie każdego ranka brał zimny prysznic i niczym się nie przejmował. Wyobrażenie nagiego ciała Kita niespodziewanie zmaćło jej myśli. Zanurzyła się głębiej, pozwalając, aby woda swobodnie unosiła obolałe od pracy kończyny.

Biedna Bianka. Tak bardzo próbuje przerobić Kita na swoją modłę. Ale nic nie wskóra. Jej wysiłki na pewno pójdą na marne. Kit jest i musi być wolny – jak sokół.

Przez chwilę zrobiło jej się nawet żal tej kobiety.

Jej myśli zaprzętnęły teraz słowa Boba Fullera. Może naprawdę powinna stąd odejść. Zapewne, byłoby to dla niej zdrowsze niż codzienne spotkania z Kitem, unikanie jego wzroku czy rozmów w cztery oczy. Jak długo jeszcze zdoła stłumić swoje gorące uczucie do niego.

Może z czasem stanie się słodką, beznadziejną idiotką, żyjącą w platonicznym uwielbieniu dla swojego pana, za jaką uważa ją Patrick Gilpayne. To jego niewybredne oskarżenie sprawiło, że miała teraz ochotę pokazać mu na co ją stać... i raczej oddałaby życie, niż dopuściłaby, aby to co mówił, sprawdziło się.

Wyraźnie straciła apetyt, choć posiłek, jaki pani Dowse przygotowała przed pójściem do domu, wyglądał smakowicie.

Wytarła ręce i popatrzyła na swoje ciało otulone miękkim, długim szlafrokiem. Nie miała już wątlej budowy – choć nadal była szczupła. „Przez ciebie, Bladon, wyglądam jak straszdyło – czas, abyśmy się rozstali. „

Przyrządziła sobie gorącą czekoladę, a następnie włączyła telewizor. Obejrzała urywek jakiegoś programu i zniechęcona wyłączyła odbiornik.

Obok na stoliku leżała gazeta. Podniosła ją, przejrzała nagłówki i odłożyła na bok. Obawiała się, że od decyzji, jaką właśnie podjęła, nie ma odwołania.

Była tak zajęta myślami, że w pierwszej chwili nie usłyszała pukania do drzwi.

Teraz odgłos kołatki był donośniejszy. Na pewno był to ktoś, kto zauważył światło w oknie i wiedział, że ją zastanie. Ten ktoś musiał przyjść ze złą wiadomością – przemknęło jej przez myśl. – W przeciwnym razie nie pukałby tak niecierpliwie.

– Kto tam? – zawołała przez zamknięte drzwi.

– To ja, Kit.

– Kit... – powtórzyła.

– Otwórz drzwi – zaraz wszyscy się tu zbiegną.

– Niech pan zaczeka, nie jestem ubrana.

– Przecież nie mam zamiaru cię zgwałcić. Weroniko, otwieraj!

Kiedy stanął w drzwiach w blasku księżyca, jego postać była ciemna.

– Coś niedobrego przydarzyło się pani Dowse?

– Skądże znowu. Dlaczego tak uważasz?

– Stukał pan do drzwi, jakby zaraz miał nastąpić koniec świata.

– Wpuść mnie. Muszę z tobą porozmawiać.

– Obawiam się, że po tym co się dzisiaj wydarzyło, nie mamy sobie nic do powiedzenia – jej głos, wbrew jej woli, brzmiał gniewnie. Czuli się niezręcznie, stojąc przed nim na wpół naga.

– Właśnie o tym przyszedłem porozmawiać. Wpuścisz mnie w końcu czy nie? Oszczędź zasłony tym ludziom – już pewnie i tak je porozrywali, żeby wszystko dokładnie zobaczyć. Jutro cała wioska się dowie, że dobijałem się do ciebie dzisiejszej nocy.

Weronika odsunęła się od drzwi, aby Bladon mógł wejść. Ponieważ sufit stykał się prawie z czubkiem jego głowy, wyglądał jak Guliwer w chacie liliputów.

Wskazała mu na najbliższe krzesło, a sama bez słowa usiadła naprzeciwko, kurczowo przyciskając poły szlafroka.

– Daj spokój, dziewczyno. Przy mnie jesteś zupełnie bezpieczna. – zachichotał.

– Zresztą zaraz będzie tu pani Dowse, a to najzaciekliwsza przyzwoitka, jaką znam.

Miał na sobie doskonale skrojony garnitur wieczorowy. Jedną ręką zdjął czarną muszkę, a drugą odpiął guzik w koszuli, przy kołnierzyku. Usiadł wygodniej, wysuwając przed siebie swoje długie nogi. Zajął nimi prawie całą wolną przestrzeń, dzielącą go od Weroniki. Czekala.

– Jestem zmęczony tymi ciągłymi kłótniami z Bianką. Niełatwo zdobywam się na przeprosiny ale czy przebaczysz mi Weroniko to, że tak cię grubiańsko potraktowałem? Proszę.

– Ja też nie jestem bez winy – wyznała szczerze. – Weszłam do gabinetu, bo szukałam pani Dowse i wtedy zobaczyłam zdjęcie... – zawahała się, ale tym razem

postanowiła, że powie mu prawdę – pana zdjęcie... Stałam i patrzyłam na nie, póki nie usłyszałam kroków pana i pani Bianki.

– Przysłuchiwałaś się całej naszej rozmowie?

– Tak, choć teraz tego żałuję.

– Ta ostatnia kłótnia przeważała szalę. Od tygodnia nie udało nam się po ludzku ze sobą porozmawiać. Sprzeczamy się z byle powodu.

– Każdy popełnia błędy. Może wszystko się ułoży. Niech pan pierwszy wyciągnie do niej rękę na zgodę. Byłaby głupia, gdyby ją odrzuciła – to ostatnie zdanie powiedziała raczej do siebie.

– Rzecz w tym, że mam już dosyć walki – przerwał i popatrzył jej prosto w oczy.

– Przyszedłem tu, przyrzekając sobie, że będę z tobą zupełnie szczery. Teraz widzę, że nie jest to łatwe. Po twoim przyjeździe zdałem sobie sprawę, że to co mnie łączyło z Bianką, było fatalną pomyłką. Nie stało się to nagle, już od pewnego czasu czułem, że coś się między nami psuje. A twoje pojawienie się tutaj jeszcze bardziej mi to uświadomiło.

Weronika czuła, jak serce bije jej coraz mocniej. Na pewno przyszedł do niej, aby jej oznajmić, że ma jak najszybciej opuścić jego dom.

– Bianka jest piękna – kontynuował – ma poczucie humoru, jest mądra i inteligentna. Znamy się od dziecka. Razem dorastaliśmy. Jest żywiołowa i szybciej pójdzie do piekła niż da się okiełznać. – Ty jesteś inna Weroniko.

Tym razem zajrzał jej w oczy jeszcze głębiej, a ona, o dziwo, nie odwróciła twarzy, tylko patrzyła na niego – świadoma, że uczucie, którym go darzyła, dodawało jej sił.

– Jesteś inna, Weroniko – powtórzył. – Nigdy nie spotkałem drugiej tak opanowanej i pełnej pogody ducha istoty.

– Pana postępowanie nie jest uczciwe wobec Bianki i wobec mnie – wstała nagle i to samo uczynił Bładon.

Dzieliła ich przestrzeń nie większa niż kilka cali.

– Nie chcę i nie będę powodem waszego rozstania!

– To było nieuniknione. Ty jedynie to przyspieszyłaś. Zrozum, że nie ma w tym twojej winy.

Weronika zwiesiła głowę.

– Chciałam, aby wszystko między nami było czyste, od początku do końca.

– Tak właśnie jest – przytulił ją do siebie – nie martw się o nic.

Przez chwilę stała nieruchomo rozkoszując się jego bliskością, i wyczuwając

bicie jego serca. Nagle uświadomiła sobie, że ma na sobie tylko szlafrok i że on też o tym wie. Zesztywniała w jego objęciach.

– Zostaw mnie, Kit, błagam – po raz pierwszy nazwała go po imieniu.

Uniosła twarz, a on przytulił swoje gorące usta do jej brwi i policzków.

– Nie teraz – potrzebuję czasu, aby sobie to wszystko poukładać.

Była podniecona i jej głos brzmiał ochryple. Bladon zbliżył swoje wargi do jej ust i zastygł w bezruchu. Potem zanurzył dłonie w jej puszystych, jasnych włosach, przytulając się policzkiem do jej ciała.

– Nie musisz śpieszyć się z decyzją, Weroniko. Będę cierpliwie czekał.

Już nie pamiętała, jak długo stali tak w bezruchu, spleceni ze sobą.

Czuła się spokojna o przyszłość i bezpieczna w jego objęciach. Dopiero odgłos otwieranych drzwi do kuchni sprowadził ją na ziemię. Próbowwała uwolnić się z jego uścisku, ale on w odpowiedzi tylko przytulił ją jeszcze mocniej.

– Wstydzisz się? – czuła ruchy jego warg we włosach i bardziej czuła niż słyszała jego słowa.

– Jeżeli o mnie chodzi, to mogłoby tu wejść całe Hinton Priors – i dodał – proszę do nas, pani Dowse.

Jej zwalista postać zasłaniała wejście. Stała, jakby ją zamurowało.

– Co za niespodzianka, panie Bladon.

– Tego wieczoru niespodzianki sypią się jak z rękawa. Miejmy nadzieję, że to miła niespodzianka.

– No cóż – zaśmiała się – jak pan chce. Ja się tam z panem we wszystkim zgodzę.

– Dobranoc, pani Dowse.

Zbliżył się do drzwi wyjściowych, trzymając Weronikę za rękę, tak jakby się obawiał, że mu ucieknie. Na pożegnanie uniósł jej rękę do ust i pocałował.

– Do jutra – powiedział.

– Żegnaj – odpowiedziała mu – do jutra.

## Rozdział 4

Następnego dnia Weronika obejrzała się dokładnie w lustrze, aby stwierdzić, czy cokolwiek zmieniło się w jej wyglądzie. Musiała nastąpić jakaś zmiana, czuła to w głębi serca. Jej umysł przypominał gorący kocioł, w którym kłębiły się radość, zakłopotanie, lęk – wszystko naraz. Nawet obecność pani Dowse przy herbacie niczego nie zmieniła.

Pani Dowse była z natury osobą dyskretną. Nigdy nie powiedziała ani pół słowa więcej, niż to było konieczne, choć wyglądała jak wulkan na krótko przed wybuchem. Mimo to, Weronika czuła, że powinna jakoś wytłumaczyć się z tego, co zdarzyło się zeszłego wieczoru.

– Pani Dowse – zaczęła po chwili wahania – proszę nie myśleć...

– Myśleć! Wielki Boże! Ja nic sobie nie myślę. Znam ciebie i znam pana Bladona. On nie należy do tych, co to wykorzystują niewinne dziewczyny – zaśmiała się nerwowo i dodała: – Nie musi tego robić.

Weronikę oblał rumieniec, ale czuła, że powinna przez to przebrnąć.

– Uważam, że jestem pani winna...

Dowse rozparła się łokciami na stole.

– Moja droga, do tej pory nie zdobyłaś się na szczerą rozmowę ze mną, a teraz płoniesz rumieńcem, jak pierwsza lepsza smarkula.

Weronika przyłożyła dłonie do policzków. Była zdumiona, że jej uczucia są tak widoczne.

– Będziecie ze sobą szczęśliwi i nie przejmujcie się tym, co ludzie sobie o was myślą. Mam pięcioro dzieci i czternaścioro wnucząt, więc chyba wiem, co mówię.

Wstała i zaczęła poprawiać swój fartuch, dając tym samym do zrozumienia, że zakończyła rozmowę.

Bądźcie szczęśliwi. Weronika biegiem pokonała drogę do domu do Priory. Bądźcie szczęśliwi – powtarzała w kółko, odmierzając porcje otrębów, płatków kukurydzianych i owsa. Bądźcie szczęśliwi – podśpiewywała wesoło pod nosem pchając taczki. Bob Fuller tylko łypał za nią oczami z zadowoleniem. Może dziewczyna opłała się młodego wina z winorośli – myślał sobie – coś ona mi podejrzanie wygląda.

Na dziedziniec wjechał konno Bladon, zamienił kilka słów z Fullerem i zataczając koło zbliżył się do Weroniki.

– Wsiadaj na konia i jedź ze mną.



– Ale przecież nie wypada...

Uniósł swoje czarne brwi i powiedział:

– Ja tu decyduję co wypada, a co nie. Jedź ze mną.

Ruszyli ścieżką, biegnącą przez wybieg dla koni w kierunku White Horse Hill. Cienie pochylonych wiązków mocno odcinały się od kredowej bieli ścieżki. Powietrze było chłodne i czyste. Zwolnili bieg, aby rozkoszować się ciszą i szumem lasu. W prześwicie między drzewami rozpościerał się widok na wzgórze White Horse.

Bladon spiął ostrogami konia, który posłusznie rozpoczął galop. Weronika poszła w jego ślady. Pędzące konie wzniewały kopytami tumany kurzu, rozpędzając na wszystkie strony zające, które przycupnęły na drodze, przeżuając świeżą, zieloną trawę. Nagle z furkotem skrzydeł wzbił się w powietrze skowronek i zataczając kręgi wyśpiewywał swoje melodyjne trele.

Kiedy zbliżyli się do szczytu, Weronika wsunęła stopy za popręgi. Czują, jak koń łagodnie przyspiesza, aby za chwilę przejść w galop. Za sobą przez krótką chwilę słyszała tętent końskich kopyt i głośny śmiech Bladona. Potem jego koń jak błyskawica przeleciał obok niej. Odpowiedziała mu śmiechem i popędziła za nim. Przed szczytem wzgórza ich konie spotkały się łeb w łeb, a za moment Bladon widział już tylko zgrabny zad jej klaczy.

– Wiedziałem, że nie dasz mi wygrać – zachichotał, kiedy zatrzymali się zmęczeni. – Przegrana z kobietą zadaje cios mojej męskiej dumie.

– Wolałbyś, żebyś dała ci wygrać – powiedziała zadziornie.

Przywiązali konie do starego drzewa, tak aby mogły spokojnie się paść. Bladon wyciągnął rękę, którą Weronika pochwyciła jak dziecko. Od jego mocnego uścisku przeszły ją ciarki, ale nie cofnęła ręki. Poprowadził ją bez słowa do krawędzi urwiska.

Pod nimi, w dole rozpościerała się dolina White Horse. Bladon sycił wzrok tym widokiem. W głębi widniały budynki z cegły, które z tej wysokości wyglądały jak domki dla lalek. Po drugiej stronie wznosiła się skarpa Salisbury, cała skąpana w słonecznym żarze lejącym się z błękitnego, bezchmurnego nieba. Stali przez chwilę obok siebie, zdawałoby się, jedyne istoty między niebem i ziemią. Potem usiedli na trawie. Weronika utkwiała wzrok w drobnych kwiatkach o krótkich łodyżkach, wplecionych w zielone źdźbła trawy: esparcete, miodunkę, gwiezdnik i bajeczny len.

Kiedy obróciła głowę, spostrzegła, jak przyglądał jej się oczyma przepelnionymi gorącym uczuciem. Siedział z podkurczonymi nogami, ręce

swobodnie opierał na udach. Był rozluźniony, ale kiedy się odezwał, jego głos brzmiał chrapliwie.

– Chciałaś, Weroniko, abym uzbroił się w cierpliwość. Mówiłaś, że potrzebujesz czasu, żeby sobie wszystko przemyśleć – zgodziłem się. Ale Bóg jeden raczy wiedzieć, jak cierpię nie mogąc cię teraz całować. Wyglądasz prześlicznie, kiedy leżysz tak wśród kwiatów na trawie.

Jej oczy wydawały się wyrażać przyzwolenie, mimo to rzekła:

– Niewiele jeszcze wiemy o sobie. Jest jeszcze tyle rzeczy, o których musimy sobie powiedzieć.

Urwał kwiatek dzikiego tymianku, włożył go sobie do ust i położył się na plecach.

– Więc opowiedz mi o sobie. Chcę wiedzieć o tobie wszystko w najdrobniejszych szczegółach.

– No cóż... – Weronika zdała sobie nagle sprawę, że zwierza się człowiekowi, który mimo uczucia, jakim go darzy, jest dla niej obcy.

– No cóż – powtórzyła. – Nie ma tego wiele. Mieszkałam w Hampshive. Mój ojciec był tam farmerem. Oboje z matką już nie żyją. Mam zamężną siostrę w Melksham oraz dwie siostrzenice. Po szkole przyjęto mnie do pracy w biurze w Bristolu, ale źle znosiłam pracę przy biurku. Resztę już wiesz.

– Zgadza się, że to niewiele. Nie powiedziałaś mi Weroniko Jordan, co sprawiło, że jesteś taką mądrą i rezolutną kobietą, ale dowiem się, nawet gdybym musiał poświęcić na to całe życie.

Weronika wzięła jego dłoń w swoje ręce. Porastały ją miękkie czarne włosy, ale po wewnętrznej stronie skóra była gładka i miękka. Przesunęła dłonią po linii życia w kierunku długich kształtnych palców. Czowała, jak drżały pod jej dotykiem.

– A ty – zapytała – nie masz zamiaru opowiedzieć mi o swoim życiu?

– Mam 32 lata i jestem niezłym graczem w polo. Lubię konie, szybkie samochody i piękne kobiety. Wiem też, że cię kocham. Co chcesz jeszcze wiedzieć?

– To mi wystarczy.

Zaśmiał się.

– To prawda, Weroniko, umierasz z ciekawości, aby się dowiedzieć ile miałem lat, jak zacząłem chodzić. Jak wyglądał mój ulubiony miś pluszowy. Gdzie chodziłem do szkoły – zgadłem, co?

– To oczywiste.

– Na twojej niewinnej twarzyczce wypisana jest każda myśl.

– Mam nadzieję, że nie każda, mój drogi, bo to oznaczałoby... – ściszyła głos tak, że ledwie ją słyszał. – Zbliź się do mnie.

Gwałtownym ruchem uwolnił swoją dłoń z jej uścisku.

– Daj spokój, Weroniko. Chyba nie zdajesz sobie sprawy z tego, co czynisz. Za chwilę nastąpi coś, czego oboje możemy żałować.

– Wybacz mi – wyszeptała drżącym głosem. Była bliska płaczu.

– Nie musisz mnie przepraszać. To nie twoja wina. Piękność i niewinność w jednej osobie bywa zabójcza. Czas na nas – stanął na równe nogi. – Przejdźmy się jeszcze trochę.

Pomógł jej wstać. Nagły ruch ciała spowodował, że przytuliła się do niego, a on ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją w usta. Mimo napięcia, jakie wyczuła w całym jego ciele, nie zdobył się na nic więcej, tylko lekko odsunął ją od siebie.

Szli wzdłuż krawędzi urwiska, zatrzymując się co chwilę, bo upał był nie do zniesienia. Przy końcu wzniesienia ścieżka gwałtownie skręcała w kierunku następnego wzgórza. Bładon rozłożył ręce.

– Tu mi się wyjątkowo podoba – powiedział. – Uwielbiam otwartą przestrzeń, ciszę, zmieniające się kształty chmur i cienie, jakie rzucają na dolinę. Większość mojego dzieciństwa spędziłem w Argentynie, nie tutaj.

Weronika uniosła pytająco brwi. Bała się, że jeżeli się odezwie, Bładon przestanie mówić i już nigdy niczego się o nim nie dowie.

– Mój ojciec był Anglikiem. Ta ziemia należała do niego. Moja matka była zaś w połowie Argentynką. Miałem 7 lat, kiedy ojciec zmarł. Po jego śmierci matka zabrała mnie do Argentyny, abym zamieszkał u jej rodziców. Moja babka była właścicielką hacjendy. Żebyś widziała, jakie tam są przestrzenie. Tysiące mil kwadratowych trawy, pożywnej trawy, którą karmi się najlepsze kuce na świecie. Hacjenda mojej babki jest tak duża jak Wiltshire. Kiedy umarła, okazało się, że jestem właścicielem dwóch posiadłości, w Anglii i w Argentynie.

W trakcie jego opowieści, Weronika czuła się coraz bardziej przygnębiona. Nagle uświadomiła sobie, jak wielka jest przepaść dzieląca córkę biednego farmera z Hampshire od właściciela niezliczonych akrów ziemi.

– Praca w tych posiadłościach jest ciężka i – mówił dalej wykrzywiając usta w uśmiechu – nie wierz tym, którzy twierdzą, że zabawiam się uwodzeniem kobiet. Nie mam na to czasu. W tej chwili też powinienem pracować.

– Więc wracajmy. Zresztą i tak wszyscy zastanawiają się, gdzie jesteśmy.

– To niech się zastanawiają. Mają do tego prawo.

Wracali tą samą drogą pod drzewami. Jego podłużna twarz z orlim nosem

sprawiała, że wyglądał poważnie, niemal surowo. Obserwując z jaką wprawą dosiadł konia, zastanawiała się, po którym z rodziców odziedziczył skłonność do impulsywności. Był radosny, a zaraz potem wpadał w gniew. Myślała też o Biance. Kit mówił, że zna ją od dzieciństwa. Ciekawe, czy była córką właściciela ziemskiego, który mieszkał gdzieś w sąsiedztwie? Gzy po ślubie wniosłaby w posagu posiadłość równą Hampshive? Zostało to zapewne uzgodnione, kiedy jeszcze byli dziećmi. Możliwe, że takie rzeczy zdarzają się w Argentynie. Zapragnęła nagle poznać świat ze wszystkimi jego sprzecznościami. Czowała dotkliwie, jak uboga jest jej wiedza o życiu.

W obecności domowników Weronika była skrępowana towarzystwem Bładona. Kiedy nachyliła się, aby otworzyć bramę wjazdową czuła się tak, jakby wpatrywały się w nią setki oczu. To było głupie, gdyż na podwórzu nie było nikogo. Wszyscy zapewne siedzieli w kuchni zajęci śniadaniem. Popatrzyła na zegarek, wskazywał za dziesięć dziesiątą. Kiedy wyruszyli na przejażdżkę, była siódma.

– Obawiam się, że pan Fuller nie będzie z tego zadowolony.

Zanim jej odpowiedział, Bladon zszedł z konia i obrócił się tak, aby spojrzeć jej prosto w oczy.

– O czymś zapomniałaś – rzekł – pracujesz u mnie, a nie u pana Fullera. I ja decyduję, co tu jest święte. Czy nadal chcesz u mnie pracować? Chciałem cię o to spytać później, ale teraz jest chyba najlepszy moment.

– Nie rozumiem... chcesz mnie zwolnić?

– I tak i nie, po prostu uważam, że dziewczyna, którą kocham, nie powinna tak ciężko i w takich warunkach pracować. – Poglaskał ją po policzku. – W Argentynie byłoby nie do pomyślenia, aby kobieta wywoziła taczki z końskim nawozem. Bianka w życiu palcem niczego nie tknęła.

– Do licha z Argentyną! Tu jest Anglia – Weronika uniosła się nagłym gniewem. Zapewne dlatego, że porównał ją z Bianką. – Nikt mi nie będzie dyktował co mam robić i zapamiętaj sobie raz na zawsze, że nie jestem Bianką.

Zaprowadziła konia do boksu i żeby się uspokoić, zaczęła szybkimi ruchami szcztokować jego sierść.

– Biedaku – powiedziała, głaskając konia delikatnie po grzywie – zapewne zastanawiasz się, dlaczego twoja pani jest rozdrażniona.

– Mówisz do mnie? – odezwał się Bladon i mimo że jego twarz była ukryta w cieniu, czuła po głosie, że robi wszystko, aby nie wybuchnąć śmiechem.

– Powiedz swojej pani, koniku, że też mam ochotę, aby mnie pogłaskała.

Nie można było długo gniewać się na niego, ale nie chciała, żeby myślał, że tak

łatwo mu przebaczyła.

– Biedny koniku – jej dłoń pieściła teraz czubek grzywy – wybacz mi.

Bladon nagle przechylił się przez dzielącą ich przegrodę i przyciągnął Weronikę do siebie. Ich usta spotkały się. Czują, jak wpija się w jej wargi. Wiedziała, że tym razem nie zdobędzie się na to, aby mu się przeciwstawić. Ich usta stopiły się w długim i namiętym pocałunku.

Kiedy odsunął się od niej, czuła jeszcze lekkie zawroty głowy.

– To jeden z tych pocałunków, które pamięta się do końca życia – uśmiechnął się.

– Odejdź – prosiła błagalnym tonem – zaraz zjawią się wszyscy. Nie chciałabym, żeby cię tu zastali.

Przez chwilę myślała, że jej odmówi, ale on tylko zawahał się i rzekł:

– No dobrze, pójdę sobie, jeżeli to cię uszczęśliwi. Jutro znowu wybierzemy się na przejażdżkę, ale z samego rana, tak abyśmy mogli obejrzeć wschód słońca.

– Ludzie będą plotkowali.

– Mam to gdzieś.

– Dla ciebie zgodzę się na wszystko.

– Na wszystko?

– Idź już. Jutro dokończymy rozmowę.

Po jego odejściu wszystko leciało jej z rąk. Cały czas miała przed oczami widok Bladona i jego drżących ust, kiedy ją całował.

– Przyniosłam ci coś do jedzenia – zagadnęła ją Jackie, kiedy po śniadaniu wyszła na dziedziniec. – Przyszło mi na myśl, że musisz być głodna, skoro nic nie jadłaś od rana.

To „coś”, było kanapką składającą się z dwóch olbrzymich kromek chleba przedzielonych zimnym już plastrem boczku.

– Ja mogę żyć dzięki tkance tłuszczowej, jak wielbłąd, ale ty zmarniejesz – tak mówi moja babcia.

Weronika ugryzła spory kawałek. Kanapka smakowała wybornie.

– Dziękuję, Jackie. Po spacerze i dużym wysiłku zawsze umieram z głodu.

Jackie stłumiła chichot:

– Przepraszam, ale rozumiesz, ten „wysiłek”... różne głupie rzeczy przywodzi na myśl.

Weronika poczuła dławiący ucisk w gardle.

– A co, Jackie, ludzie coś mówią?

– To normalne. Ja też chciałabym wiedzieć, co tam robiliście.

– Nic wielkiego. Rozmawialiśmy. Pytał mnie, skąd jestem, czym się przedtem zajmowałam, wiesz, jak to jest.

Kanapka rosła jej w ustach. Teraz smakiem przypominała wióry. Pewnie dlatego dokończyła ją jeść, że nie miała gdzie wyrzucić. Dlaczego tym się martwię – pytała siebie – że ludzie mówią o mnie i Bladonie? Przecież mają do tego prawo.

To, co łączyło ją z Bladonem, było dobre, a jeżeli ludzie odbierają to inaczej, to trudno. Próbowwała tłumaczyć tę sytuację na różne sposoby. Jednak to, że o niej mówiono, bardzo ją bolało. Żeby ich nie prowokować, powinna była zrezygnować z jutrzejszej przejażdżki, ale nie zrobiła tego, gdyż bała się jego reakcji.

– Nie martw się – Jackie pocieszyła ją – Babcia uważa, że postępujesz słusznie. Ostrzegala wszystkich, że jeżeli nie przestaną plotkować, to nie dostaną śniadania. Pozwól Weroniko, że powiem, co o tym myślę.

– Mów śmiało.

– Dzieje się tak dlatego, że to mała miejscina, a ty jesteś piękna i przyjechałaś z daleka. Wszystko, co dotyczy twojej osoby, wzbudza ciekawość, ale z czasem przyzwyczajają się do ciebie i nie zdziwią się, nawet gdybyś jechała przez wioskę nago.

– Oby tak się stało.

Jak się wkrótce dowiedziała, nie tylko parobcy się nią interesowali.

Późnym popołudniem zajęta była układaniem siana w stodole. Kiedy trzymając snopek próbowała go umieścić na szczycie jednej ze stert, poczuła, jak czyjaś ręka dotknęła jej pleców, a potem powędrowała do zagłębienia poniżej talii. W pierwszej chwili pomyślała, że to Bladon, bo któż inny mógł ją teraz dotykać, ale australijski akcent podziałał na nią jak zimny prysznic.

– Lubisz te zabawy, co, laleczko?

– Łapy przy sobie!

– Nie mów, że Bladona też tak potraktowałaś dzisiaj rano.

– To nie pana sprawa, proszę mnie puścić, bo zacznę krzyczeć!

– Nie chciałem cię urazić – cofnął rękę, jakby była rozgrzana do czerwoności sztabką żelaza. – Nie musisz tak zadzierać nosa, wiem, że jesteś doskonała w robocie.

– O jaką robotę panu chodzi? Nie rozumiem.

– Doskonale wiesz. Powiedz tylko słówko, a pokażę ci, że ze mnie też chłopisko na schwał.

Weronika jak oparzona wybiegła ze stodoły, zatrzasnąwszy za sobą drewniane wrota. Słyszała za sobą jego głośny śmiech.

Ten drobny incydent bardzo popsuł Weronice radość ze spotkania z Bladonem. Wstała z łóżka na długo, zanim po nią przyjechał. Tak naprawdę, po tym co jej powiedział Patrick Gilpayne ani przez chwilę nie zmrużyła oka. Większość jego insynuacji mogła zbagatelizować, poza jedną, że bezwstydnie oddała się Bladonowi.

Przycisnęła głowę do poduszki, która zdawała się być wypełniona kamieniami. Bladon mówił, że każda jej myśl odbija się na twarzy, jak w zwierciadle. Czyżby to, że odpowiedziała mu pocałunkiem, kiedy przytulił się do niej oznaczało dla niego zaproszenie do... – wołała nie kończyć. Może źle ją zrozumiał. Mógł się pomylić. Przecież dopiero co się poznali – pocieszała się.

Ubrała się i gotowa czekała w otwartym oknie, rozkoszując się chłodem, który studził jej rozpaloną twarz.

Słysząc było odgłos kopyt. Wiedziała, że Kit zjeżdża ze wzgórza, a gdy dobiegł jej uszu stukot metalowych podków o kamienne podłoże, domyśliła się, że minął most. Za chwilę pewnie zbliży się do bramy wjazdowej, prowadząc ze sobą jej klaczkę.

Pewnie zauważył ją w oknie, bo podniósł na powitanie rękę. Było ciemno, więc nie widziała jego twarzy, ale mogłaby przysiąc, że uśmiechnął się do niej. Tylko ona nie mogła mu odpowiedzieć uśmiechem.

Jechali bez słowa drogą prowadzącą przez uśpioną wioskę do wzgórza White Horse. Pod drzewami panowały gęste ciemności. Weronika czuła się jak ślepiec, który z braku wzroku, ma wyostrzone pozostałe zmysły.

Tarka biegła przed nimi. Weronika słyszała jedynie jej chrapliwy oddech i szelest uginanej łapami trawy. Kuce szły truchtem, swobodnie wybierając drogę w ciemności. Czuła obok siebie Bladona. Jego siodło trzeszczało, kiedy przechylał się na boki w rytm końskiego marszu.

Nie słyszała zaś odgłosu kopyt, tłumionych przez piasek. Kiedy wyjechali spomiędzy drzew, zobaczyli, jak ciemne niebo powoli rozświetla poranna zorza. Pojawiły się świetliste i opalizujące smugi, które zmieniły atramentową ciemność w bladą różową, a chwilę później zielonkawą poświatę.

Ona to obudziła ptaki, które wesołymi trelami i świergotem rozbrzmiewającym w leszczynowych krzewach witały nowy dzień. Swoim śpiewem wyróżniały się kosy, które jeden po drugim ulatywały w powietrze. Wkrótce dołączyły do nich drozdy, rudziki i strzyżyki.

Kiedy dojechali do krawędzi wzgórza, zeskoczyli z koni. Wyciągnął do niej rękę. Weronika zawahała się, co nie uszło jego uwadze. Popatrzył na nią z

wyrzutem, ale ona tylko wskazała dłonią niebo i powiedziała: – Spójrz.

Bładoróżowy odcień nieba zmienił się w kanarkowy, a krawędź Milk Hill upodobniła się do łuku triumfalnego, który przy wtórze ptasiego chóru przesuwiał czarne, nocne chmury na zachód.

Ścisnęła jego dłoń i wysunęła palce z jego ręki. Nawet nie próbował jej powstrzymać.

W jednej chwili piękno, jakiego przed chwilą doświadczyła, oglądając wschód słońca, prysnęło jak mydlana bańka. Jej oczy napełniły się łzami. Bała się mrugnąć, żeby nie spłynęły na policzki i nie zdradziły jej stanu ducha. W pewnym momencie jednak potoczyły się grubymi kroplami. „To okropne” – pomyślała, kierując twarz ku ciepłym podmuchom wiatru, aby osuszyły słone strużki.

„Oboje powinniśmy dzielić radość poranka, a ja jestem na rozdrożu. Serce mówi mi, że bez niego będę nieszczęśliwa, ale czy będę szczęśliwa z nim?”

Bładon chwycił ją za ramiona i odwrócił twarzą do siebie. Jego siła dodawała jej odwagi.

„Oby ten stan trwał wiecznie” – pomyślała.

Przytulił swój policzek do jej policzka. Kiedy poczuł, że jest wilgotny, spojrzał na nią pytająco i rzekł:

– Co to znaczy?

Próbowała odwrócić głowę w drugą stronę, aby uniknąć jego badawczego wzroku. Na nic jednak zdał się jej wysiłek, ponieważ mocno przytrzymał jej twarz.

– Co to ma znaczyć? – powtórzył. Co ty wyprawiasz?

– Nic takiego.

Udało jej się w końcu uwolnić twarz z jego uścisku.

– Nie rozumiem cię, Weroniko. Doprowadzasz mnie do szaleństwa tymi ciągłymi zmianami nastroju. Nie kochasz mnie? Nie bój się, powiedz mi prawdę. Zniosę to, nie załamie się, obiecuję – zaśmiał się krótko i gorzko.

W jednej chwili zrozumiała, że bez niego nie wyobraża sobie życia.

– Kocham cię – rzekła i położyła dłoń na jego policzku.

– Więc skąd ta zmiana? Wczoraj w tym samym miejscu byłaś zupełnie inną osobą.

– Bo to wszystko dzieje się za szybko, zrozum, ci ludzie dookoła...

Na słowo „ludzie” podskoczył jak oparzony.

– Jacy ludzie? Dokuczają ci?

Pokusa, aby mu wszystko opowiedzieć była nie do zniesienia. Od tak dawna pragnęła otworzyć się przed kimś, zrzucić ten bolesny ciężar z serca.



– Mówią, że ci się narzucam, że jestem dla ciebie jedynie kolejną zabawką.

Wzdrygnęła się. Jak może mu coś podobnego mówić. Nawet jeżeli przynosi jej to ulgę. Potrząsnęła głową, mimo że mocniej przytulił ją, aby dodać jej odwagi.

– Czy to takie ważne, co ludzie o nas myślą? Liczy się tylko to, co nas łączy – powiedział ciepłym głosem.

„Ale czy ty naprawdę mnie kochasz? Czy może tylko wydaje mi się, że tak jest” – pomyślała.

– Gdzie podział się twój uśmiech, Weroniko? Przepięknie się uśmiechasz.

Dotknął palcami jej ust. Przypomniało to muśnięcie skrzydełek kolibra.

– Jeżeli naprawdę aż tak się przejmujesz tym, co o nas mówią, to wyjdź za mnie. Jeszcze dzisiaj.

To było takie proste, aż zapierało dech w piersiach. Po jego słowach nastąpiła długa cisza.

Patrzyła na dolinę, która z tej wysokości wydawała się nie mieć dna.

– Zgódź się, powiedz „tak” – nalegał. Nagle uśmiech znikł bez śladu z jego twarzy.

– Nie mam w zwyczaju nakłaniać kobiet do małżeństwa. Jesteś pierwszą i ostatnią, którą o to proszę. Spójrz na mnie – rozkazał.

„Posiadłość tak duża jak całe Hampshire” – pomyślała patrząc mu ponownie w oczy. Zależy mu na niej. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Ale co będzie za miesiąc, za rok? Czy nadal będzie ją kochał? On i Bianka razem dorastali. Mają wspólną przeszłość. Co stanie się, gdy nagle uświadomi sobie jak bardzo kobieta, którą teraz prosi o rękę, różni się od tamtej, wyniosłej, dobrze urodzonej dziewczyny”.

– Bianka – wyszeptała. Ale zamknął jej usta długim pocałunkiem.

– Więcej nie będę cię prosił – powiedział spokojnie, wsiadł na konia i odjechał. Weronika poczekała, aż minął pas drzew i poszła w jego ślady.

## Rozdział 5

Kiedy mijając paddock wjechała na dziedziniec, stwierdziła z ulgą, że jest jeszcze pusty. Zabrała się do pracy. Każdą czynność wykonywała instynktownie, z mechaniczną niemal precyzją. Zauważyła, że wierzchowiec Bladona stoi w swojej przegrodzie i spokojnie przeżuwa należną mu porcję siana.

Nigdzie jednak nie widziała Bladona. Zresztą wcale nie pragnęła go zobaczyć. Czuliła, że gdyby się pojawił, straciłaby głowę wykrzykując: – Tak, po stokroć tak!

Kto wie, czy nie popełniłaby największego błędu w swoim życiu.

W pewnej chwili zobaczyła biegającą dookoła bramy wjazdowej Tarkę. Zesztywniała na myśl, że za psem pojawi się Bladon, ale pies zajęty sobą powędrował dalej.

Głosy zbliżających się ludzi uświadomiły jej, że minęła szósta – czas rozpoczęcia pracy. Tylko dwóch, może trzech stajennych zauważyło, że jest rześka i już pracuje. Reszta pokiwała tylko głowami i zabrała się do swoich zajęć. Obojętność personelu była cudownym lekarstwem na jej skołataną myśl. Mogła choć na chwilę zapomnieć o niezwykłym poranku.

Po raz pierwszy w historii stadniny Bladon nie pojawił się na inspekcji o siódmej. Bob Fuller, mimo poruszenia wśród personelu, kontynuował obchód, tak jak gdyby zarządca był obecny. Bladon nie pojawił się też później, podczas treningu kuców.

W drodze na boisko Weronika była zajęta rozpamiętywaniem randki o wschodzie słońca. Pamięć przywiodła jej na myśl Bladona, gdy prosił ją, aby pomogła mu w treningu. Kiedy popatrzyła na drugą stronę boiska, widziała jakby na jawie jego postać znikającą w lesie. Przypomniała sobie kredowobiałą ścieżkę wijącą się ku szczytowi wzgórza, gdzie Bladon i ona stali przytuleni niecałe trzy godziny temu. Zdawało się, że minęły wieki od momentu, kiedy obsypując ją pocałunkami, prosił o jej rękę. Wątpi, czy wiedział, ile bólu sprawiło jej odmówienie.

Nagły upadek spowodował, że na chwilę straciła oddech. Kątem oka zauważyła biały ogon uciekającego zająca, który przed chwilą przestraszył konia. Poczuliła nudności. Drżąc uniosła się na łokciach. Widziała trzech jeźdźców mocujących się z oszalałym kucem. Dopiero Bob Fuller, zapędzając zwierzę do reszty stada, zażegnał niebezpieczeństwo.

– Oszalałaś, dziewczyno?! – Fuller niemalże krzyczał stojąc nad nią.

– Widziałem. Jechałaś jak worek ziemniaków. Dlaczego wypuściłaś lejce?

Troy mógł się nieźle poturbować przez twoją lekkomyślność – ukląkł przy niej.

– Cała jesteś? Może coś cię boli? – jego głos znowu był łagodny.

– Przepraszam, panie Fuller, zamyśliłam się – usiadła sycząc z bólu, który sprawiały jej naciągnięte mięśnie ramion. – To była moja wina.

– Nikt w to nie wątpi. Gdybyś miała oczy szeroko otwarte, zauważyłabyś to nadbiegające maleństwo – po rubasznym tonie jego głosu poznała, że tym razem uszło jej to na sucho. Fuller pomógł jej wstać. Była potłuczona i obolała. Miała nadzieję, że jutro albo za kilka tygodni nic poważnego nie wyniknie z tego upadku. Najbardziej dokuczało jej miejsce znajdujące się w dolnej części ciała, przy zakończeniu kręgosłupa.

– W porządku – zawyrokował Fuller – wskakuj z powrotem na konia. To najlepsze lekarstwo. Objedź kilka razy boisko, żeby wiedział, kto nim rządzi i wracaj do stajni. Tylko uważaj, żadnych wygłupów po drodze!

Szef stajennych miał rację, jazda wierzchem okazała się wyborym lekarstwem na ból, jaki odczuwała w miejscu, które stykało się ze skórzaną powierzchnią siodła.

Kiedy niosła siodło i uzdę do stajni, starała się iść tak, aby nikt nie zauważył, że utyka na nogę. Fuller postąpił rozsądnie zezwalając jej na powrót do domu. Znała wielu takich, którzy za nic w świecie nie zgodziliby się, aby opuściła wybieg przed zakończeniem treningu. Musiała się jednak spieszyć, czekało na nią dużo pracy.

W stajni panował przyjemny chłód. Powietrze było przesycone zapachem skóry i mydła. Słońce grzało ją przez otwarte wrota w plecy i oświetlało zgrabną figurę, która odcinała się od ciemnego tła stajni. Widać było opalone na brąz ręce i włosy koloru ziaren kukurydzy, rozwiewane lekkimi podmuchami ciepłego wiatru. Gdyby nie galop myśli w jej skołatanej głowie, byłaby zadowolona z pracy w takich warunkach.

W pewnej chwili ktoś wszedł do stajni. Zauważyła cień na jasno rozświetlonej słońcem ścianie. Przestała pracować, ale nie odwróciła się, aby spojrzeć na intruza. Kiedy wchodził do stajni, przez moment zrobiło się zupełnie ciemno. Znak, że był wystarczająco wysoki, aby zasłonić całe wejście. Odetchnęła głęboko. Próbowwała uspokoić serce, które miotano się w piersiach jak oszalałe.

Patrick Gilpayne zamknął drzwi i oparł się o futrynę. Czekał, aż oczy przyzwyczają się do ciemności.

– Zachowujesz się tak, jakbyś zobaczyła ducha – powiedział. – Nie gryzę, chyba, że muszę – zaśmiał się cierpko.

Weronika bez słowa wróciła do pracy. Była spięta. Patrick kilkoma susami pokonał dzielącą ich odległość.

– Twój upór doprowadza mnie do szaleństwa! – Złapał ją za rękę i wykręcił w taki sposób, że musiała mu spojrzeć w twarz.

– Puść mnie – syknęła przez zaciśnięte zęby.

Próbowała się uwolnić, jednak ból w ramieniu stawał się wtedy nie do zniesienia. Mimo, że była silną kobietą, w jego rękach wyglądała jak kukielka.

– Nie uda ci się zamydlić mi oczu rannymi przejazdźkami. To dobre dla Bladona. Nie jesteś takim niewiniątkiem, na jakie wyglądasz. Mam rację?

– O czym ty mówisz? – zareagowała gwałtownie.

– Doskonale wiesz, o czym mówię. Próbujesz usidlić Bladona, odkąd pojawiłaś się w Priory – Mylisz się!

– Robisz wszystko, by popsuć to, co łączy Biankę i Bladona.

– To nieprawda! – jej głos stawał się coraz bardziej donośny. Miała nadzieję, że ktoś wejdzie do stajni i zażegna całą tę niezręczną sytuację, w jakiej się znalazła.

– Zresztą to twoja sprawa, nic mi do tego. Jeżeli dobrze rozegrasz tę partię – kto wie? Może będziesz miała nas obu?

– Nikczemniku! – Objął ją tak mocno, że aż krzyknęła.

– To boli, przestań!

– Nie udawaj, że tego nie lubisz.

Nagle drzwi otworzyły się z hukiem. Weronika oślepiona światłem słonecznym w pierwszej chwili nie poznała Bianki.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedziała mrużąc oczy. Potem ostentacyjnie odwróciła się na pięcie i odeszła.

Korzystając z sytuacji, Weronika wyrwała się z objęć Gilpayne'a i rzuciła się do drzwi. Gilpayne zrobił jednak szybki krok naprzód i złapał ją z tyłu za bryczesy.

– Nie radzę ci biec z tym do Bladona – ostrzegł – to ci tylko zaszkodzi.

– Nie mam zamiaru nikomu spowiadać się z tego, jak mnie potraktowałeś – z trudem zdobyła się na spokój.

– Bladon nie zaryzykuje rozpadu drużyny – kontynuował bezlitośnie. – Jesteśmy faworytami w najbliższych mistrzostwach. Nie pozwoli, aby jakiś głupi stajenny parobek popsuł mu szyki.

Mówił prawdę, Bladon miał za wiele do stracenia. Nie chodzi tylko o tegoroczne mistrzostwa, ale o lata pracy i przygotowań. Miał zgraną drużynę. Znali siebie na wylot, potrafili przewidzieć każdy swój ruch na boisku. Gdyby teraz przyjął w miejsce Gilpayne'a nowego zawodnika, z całą pewnością przegrałby,

wystawiając na szwank całą swoją reputację. I dla kogo? – dla dziewczyny, którą dopiero co poznał, która co gorsze odrzuciła jego oświadczenia.

Wolała też nie myśleć, ile złego może uczynić – przepełniona słodyczą – relacja Bianki z całego zajścia. Zamknięte drzwi stajni. Ona w ramionach Patricka. Każdy w tej sytuacji nie miałby wątpliwości, co razem robili, a już z pewnością Bianka.

Po powrocie do domu Weronika znalazła panią Dowse w kuchni. Pochylona nad deską, prasowała bieliznę. Każdą, świeżo uprasowaną sztukę wieszła na pustym krześle. Mimo otwartych okien i drzwi w pomieszczeniu panował zaduch. Jej szeroką, pogodną twarz rozjaśnił uśmiech, kiedy Weronika przestąpiła próg.

– Cieszę się, że cię widzę. Zagotuj, kochanie, wodę. Mam ochotę na filiżankę gorącej herbaty.

Kiedy Weronika postawiła dwie ozdobione kwiatami filiżanki z herbatą na stole, pani Dowse nabrała do płuc powietrza i westchnęła.

– Doskonale. – Podniosła poszewkę na poduszkę, popatrzyła na nią i odłożywszy ją na krzesło wyłączyła z sieci żelazko.

– Mam już dosyć. Nóg nie czuję. – Usiadła na jedynym pustym krześle, jakie pozostało i odchrząknęła kilkakrotnie.

– Posłuchaj, kochanie – zaczęła z wahaniem. – Jesteś tu od niedawna, a wydaje mi się, że znam cię wieki. Więc nie gniewaj się za to, co ci za moment powiem.

Weronika doskonale wiedziała, do czego pani Dowse zmierza. Próbowwała jednak grać na zwłokę, napelniając filiżankę kolejną porcją herbaty.

– Jackie była tu przed chwilą. Bardzo martwi się o ciebie.

– Niepotrzebnie. Nic mi nie jest.

– Wiedziałam, że to powiesz, ale Jackie jest innego zdania.

– Bo ona nie zna całej prawdy – odfuknęła ze złością.

– Przepraszam, nie chciałam – zawstydziała się. – Wiem, że Jackie chce mi pomóc.

– Cieszę się, że tak uważasz – powiedziała szorstko pani Dowse. – Jackie mówiła, że wszyscy plotkują o tobie i Patricku. Trzymaj się od niego z daleka. To ci tylko wyjdzie na zdrowie.

– Powinam była się domyślić, że złe wieści rozchodzą się lotem błyskawicy.

– To zrozumiałe, w takiej niewielkiej miejscinie jak ta.

Weronika próbowała gwałtownie zareagować na niesłuszne oskarżenie, ale widok pani Dowse siedzącej po drugiej stronie stołu, powstrzymał ją. Miejsce złości zajął bezgraniczny smutek. Ta sytuacja przypominała błędne koło. Czowała, że trucizna Gilpayne'a zbiera swoje żniwo. Przypomina chwast, który usunięty w

jednym miejscu, pleni się, jakby nigdy nic, w następnym, najmniej spodziewanym.

Pani Dowse pochyliła się w jej stronę i poklepała ją po dłoni.

– Posłuchaj, Weroniko – pocieszała ją. – Możesz uważać mnie za starą plotkare, zresztą jest w tym odrobinę prawdy – nie ma to jak dobra plotka. Oczyszcza atmosferę. Ale są rzeczy, o których wiem, a jednak milczę jak grób. Wiem, jak się sprawy mają między tobą a panem Bladonem. Tylko nie zaprzeczaj. Wiem też, jakim ziółkiem jest Patrick, ile potrafi napsuć dobrej, niewinnej krwi. Radzę ci, dziewczyno, idź do Kita i szczerze z nim porozmawiaj, zanim to cholerne paplanie dotrze do jego uszu. Może się to stać lada moment – wierz mi.

– Nie mogę tego zrobić.

– Co to znaczy, nie możesz?

– Proszę mnie nie pytać o nic więcej – po prostu nie mogę.

– Zatem ja to zrobię. Im szybciej, tym lepiej. Może się zdarzyć i tak, że w ogóle nie weźmie sobie tej gadaniny do serca. Z mężczyznami bywa różnie. Czasami naopowiadam mojemu tyle bzdur, a on ma to gdzieś. Tylko dopiję herbatę i lecę do zarządcy.

– Nie zgadzam się. – Weronika za wszelką cenę starała się powstrzymać panią Dowse. – Wszystko samo się wyjaśni. Z całą pewnością przyczyni się do tego panna Rafael. Kiedy zarządca wróci dzisiejszego wieczora, pierwsza pobiegnie do niego z dobrą wieścią.

– To on wyjechał?

– Do Londynu, z samego rana.

– Uważam jednak, że popełniasz błąd, Weroniko.

– Mimo wszystko nalegam, aby mu nic nie mówić. Wszystko się samo wyjaśni.

„Jeżeli Kit mi ufa, to nie przejmie się jadowitymi jęzorami” – pomyślała. – Dziękuję za dobre serce, pani Dowse.

– Jak chcesz, kochanie. Ja tam jestem stara i swoje wiem. – Wstała i włączyła żelazko. Popatrzyła jeszcze na zegar stojący na kominku i na powrót zajęła się prasowaniem.

– Na starość chyba głupieję. Zapomniałam, że tam za zegarem jest list do ciebie, od pana Bladona. Zostawił go dziś rano, przed wyjazdem.

Weronika rozdarła kopertę drżącymi rękami i wyjęła ze środka złożoną na pół kartkę. Rozłożyła ją i przeczytała: „Weroniko, poprosiłaś mnie o czas do namysłu i zgodziłem się, choć bardzo utrudniasz mi dotrzymanie tej obietnicy. Przykładem tego był dzisiejszy ranek. Kit.” Na dole dopisał naprędce: „Jeżeli będziesz myślała jedynie o pracy, nie znajdując czasu na dobrą zabawę, staniesz się największą

nudziarą pod słońcem.” Oprócz listu w kopercie było też zaproszenie na bal do Barringham House, z okazji otwarcia mistrzostw gry w polo, który odbędzie się w sobotę, 21 lipca, o dwudziestej trzydzięci. W dopisku zaznaczono, iż wymagane są stroje wieczorowe.

Pani Dowse kątem oka przyglądała się Weronice. Kiedy dziewczyna skończyła czytać zapytała ją, próbując ukryć ciekawość.

– I co, w porządku?

– Tak, pani Dowse – odpowiedziała jej bez przekonania.

List został przecież napisany rano, przed jej nieprzyjemnym zajściem z Patrykiem. Wątpliwe czy, kiedy dowie się o wszystkim, zechce choć na nią spojrzeć.

W ciągu poprzedzającego zawody tygodnia nie było czasu na plotki czy ciekawskie spojrzenia. Jeżeli czasem przyłapała Patryka Gilpayne’a, jak gapił się na nią, nie musiała się tym przejmować.

Kit traktował ją na równi z innymi, zmuszał do ciężkiej harówki, ale zawsze dziękował za dobrą pracę.

Ani razu w ciągu tego czasu nie przypominał jej ukochanego mężczyzny, który na wzgórzu, w świetle wschodzącego słońca, prosił ją o rękę. Mogłaby, na dobrą sprawę, cały ten epizod puścić w niepamięć, gdyby nie tępy ból w sercu podczas długich, bezsennych nocy.

Pani Dowse, poza paroma zdaniami na temat balu, nie pisnęła ani słowa więcej. To wystarczyło, aby Jackie umierała wprost z ciekawości.

– Ten bal to niezła gratka – stwierdziła. – W co się wystroisz? – zapytała, a Weronice zamarło serce.

– Nie wiem jeszcze – odpowiedziała obojętnie.

– Nie wiesz? – na jej twarzy malowało się niedowierzanie. – Na twoim miejscu miałabym już wszystko dopięte na ostatni guzik. Nie wspominając już o superwystrzałowej kieckce.

– Nie mam superwystrzałowej kiecki. – Pomyślała o zawartości swojej szafy i omal nie wybuchnęła śmiechem. – Niepotrzebna mi do pracy jaką wykonuję.

– Widzę cię w czymś czarnym i tajemniczym. Zobaczysz, zatka ich! – Jackie była zachwycona swoim pomysłem.

– To zupełnie do mnie nie pasuje. Muszę pomyśleć o czymś innym.

– Idź do Devizes i rozejrzyj się.

– Nie mam na to czasu, przecież zwijamy się z robotą jak w ukropie.

– Jestem pewna, że wuj Bob da ci wolne, jeżeli go poprosisz.

– Nie zrobię tego, Jackie, z jednego powodu: po prostu nie mam forsy.

– No to będziesz musiała pójść na bal w bryczesach i butach do konnej jazdy. Chyba że... – jej twarz nagle pojaśniała – poprosisz dobrą wróżkę, aby ci pomogła. Ja jednak nie liczyłabym na to.

– Masz rację, Jackie – odpowiedziała Weronika i razem wybuchnęły śmiechem.

Tak naprawdę, to nie była w nastroju do żartów. Miała trochę oszczędności, ale nie była to suma, która mogłaby wystarczyć na kupno sukni balowej. Był to problem, którego nie mogła zignorować, a termin balu zbliżał się bezlitośnie.

Gdy wróciła do domu, czekała na nią kolejna wiadomość od Kita. Wysłał do niej listy, choć w każdej chwili mógł z nią przecież porozmawiać. Jego zachowanie bawiło ją, jednak treść nie dawała powodu do śmiechu. „Kochanie – pisał. – Nie gniewaj się i nie bądź zakłopotana moją propozycją. Oto ona: pragnę, abyś przyjęła ode mnie pieniądze na sobotnie zakupy. Będę szczęśliwy, jeżeli w ten sposób pomogę ci w przygotowaniach do balu. „

Lapidarność listu oburzyła ją i utwierdziła w przekonaniu, że sama musi uporać się ze swoimi sprawami. Za nic w świecie nie przyjmie od niego pieniędzy. Nawet gdyby ktoś zarzucał jej, że jest uparta i niepotrzebnie unosi się honorem. Prędzej poprosi o pomoc swoją siostrę, Peny.

Bob Fuller nie był zaskoczony, kiedy poprosiła go o wolne. Zgodził się bez wahania.

Kiedy pojawiła się w małym domku w Mellisham, została powitana okrzykami zachwytu. Mała, pięcioletnia Becky rzuciła się jej w ramiona, piszcząc wniebogłosy.

– Ciocia Weronika! Mamo, ciocia Weronika do nas przyjechała.

Twarcz Becky była przyozdobiona podejrzenie wyglądającymi plamami.

Po chwili pojawiła się Peny, zaniepokojona, ale też ucieszona widokiem Weroniki.

– Tak się cieszę, kochanie. Becky, zostaw ciocię w spokoju. Zawsze uwiesisz się na niej jak małpka.

Becky zaciągnęła ją do kuchni. W jasnym świetle Weronika miała okazję lepiej przyjrzeć się swojej siostrze. Peny miała zmęczoną, pokrytą bruzdami twarz. Weronika wyrzucała sobie, że przyjechała prosić ją o pomoc.

– Zauważyłaś te plamy na buzi Becky? To odra. Becky już wraca do zdrowia, ale Jonathan – biedne maleństwo, bardzo cierpi. Teraz śpi, ale w nocy musiałam kilka razy wstawać do niego.

– Jonathan ma gorsze plamy ode mnie – oznajmiła dumnie Becky. – Ale



wczoraj ja byłam górą – dodała.

– Masz wolny dzień? Nieźle dają ci w kość w tej nowej pracy. – Nachyliła się aby postawić przed Weroniką kubek z kawą. – Podoba ci się tam?

– Tak – odpowiedziała wymijająco – przyjemnie się tam pracuje.

– Mam do ciebie prośbę, Weroniko. Zostań przez chwilę z dziećmi, a ja wyskoczę po zakupy. David załatwił wczoraj sprawunki, ale okazało się, że zapomniałam o paru rzeczach.

– Bardzo proszę, idź na tak długo, na ile będziesz potrzebować. Zajmę się dziećmi. Jest tylko jeszcze jedna rzecz, droga siostrze, przyjechałam prosić cię, abys uszyła mi wieczorową suknię.

– Nie ma sprawy. Na kiedy?

– Na sobotę.

– Co za pech – westchnęła Peny – czeka cię coś wyjątkowego?

– Zgadłaś – odpowiedziała cicho.

– Obawiam się... rozumiesz, gdyby dzieci były w szkole, wtedy może... no dobrze, spróbuje.

Z góry dobiegł piskliwy głosik:

– Mamusiu, mamoo!

Peny pobiegła na piętro, a kiedy schodziła w dół, niosła w ręku długą suknię.

– Przymierz tę. Już nie pamiętam, kiedy miałam ją ostatni raz na sobie. David pracuje na zmiany i nie bardzo mamy czas na potańcówki.

Suknia była prześliczna, w pastelowych, ciepłych kolorach. U dołu przypominała odwrócony kielich kwiatowy. Doskonała na przyjęcie w małym gronie lub randkę w letnie popołudnie, ale nie na bal. Weronika próbowała ukryć rozczarowanie.

– W tych kolorach będzie ci do twarzy. Jesteś wyższa i szczuplejsza. O Boże! Sama skóra i kości! Czy oni nie dają ci tam nic do jedzenia? Spróbuję ją trochę zwęzić. Jeżeli jeszcze kupisz sobie nowe sandaalki, to... – westchnęła. – Nie podoba ci się ta suknia?

– Nie, skądże znowu, tylko że...

– Wymarzyłaś sobie inną... no cóż, kochanie, obawiam się, że w ciągu dwóch dni nie uda mi się dokonać cudu.

– Rozumiem, to było głupie z mojej strony.

– Wierz mi, będziesz wyglądała prześlicznie, gdy trochę nad nią popracuję. Dam ci jeszcze aksamitną opaskę na szyję, tę z kameą, wiesz, tę ... od naszej mamy. Będziesz królową balu!

– Oby się sprawdziło – Weronika uśmiechnęła się z ulgą. – Dziękuję, Peny. Leć już po te swoje zakupy i nie martw się, mogę spędzić u ciebie cały dzień.

– Ciociu Weroniko – Becky wskazała palcem na suknię. – Czy mogę pobawić się z tobą w przebieranie?

W ciągu następnych dni Weronika nie miała czasu zastanawiać się nad tym czy postąpiła słusznie, rezygnując z pieniędzy Bładona. Pod koniec tygodnia gorączka przygotowań do mistrzostw sięgnęła zenitu. Ponad tuzinowi kuców założono opaski na nogi. Oprócz tego, należało każdego z nich podkuć i wyczesać, a na koniec zapakować do specjalnej przyczepy wielkości wozu meblowego, którą ciągnął Tim Fuller z Mikiem Dowse'em. Jackie i Weronika jechały za nimi w Landrowerze.

Weronika położyła swoją suknię, zapakowaną w plastikową torbę, na sprzącie który ze sobą wieźli. Tim patrząc na suknię zagwizdał.

– W sam raz do pracy przy taczkach – parsknął śmiechem. – W butach do konnej jazdy będziesz gwoździem programu.

Wjechali na teren Barringham House i zatrzymali się obok innych wozów z końmi. Na specjalnie do tego celu przystosowanym parkingu uwijali się stajenni, zajęci wyprowadzaniem kuców z przyczep.

Po drugiej stronie boiska stał pawilon, w którym gromadzili się zawodnicy wszystkich drużyn. Weronika ukradkiem zerknęła w stronę Bładona. Był wysoki i wysportowany. Żaden z nich nie dorównuje mu urodą – pomyślała.

Na trawniku za pawilonem rozbito ogromny namiot, przeznaczony na salę balową.

Drużyna Bładona miała grać w drugiej turze.

Weronika mogła spokojnie oglądać to, co działo się na boisku.

Nigdy przedtem nie wyobrażała sobie, jaki zgiełk panuje podczas meczu polo. Podziwiała szybkość koni i grację zawodników starających się pochwycić piłkę. Zrozumiała też, jakie znaczenie miały codzienne ćwiczenia z kucami w Priory. Tylko że teraz wszystkie zwroty i dryblingi wykonywane były za zdwojoną szybkością.

Podziwiała umiejętności ubranych w koszulki i krótkie spodenki sędziów, to, z jaką determinacją kontrolowali zmagania koni i ludzi.

Mecz trwał przez siedem minut, potem następowała krótka przerwa podczas której widzowie mieli czas na otrzepanie ubrań z grudek darni, wyrzucanych z impetem przez końskie kopyta.

Wszyscy zachwycali się grą, choć byli i tacy, którzy woleli popatrzeć na

zgrupowanych ludzi.

Weronika pragnęła pierwsza pogratulować Bladonowi zwycięstwa. Była pewna, że jego drużyna zdobędzie puchar. Wolałaby mieć wtedy na sobie jedwabną suknię, a nie bryczesy i ciężkie buciory z długimi cholewami.

Przyszła kolej na drużynę Bladona. Od początku meczu czas biegł z szybkością koni.

Weronika pomogła Kitowi dosiąść konia. Kiedy poprawiała strzemiona, delikatnie dotknął ręką jej ramion.

– Życz mi powodzenia – powiedział cicho.

Popatrzyła na jego twarz ocienioną daszkiem czapki.

– Powodzenia – odparła.

Ruszyli do ataku. Z odległości w jakiej stała, mogła ich rozpoznać jedynie po numerach koszulek. Najbliższy jej sercu był numer drugi. Bladon szybkimi ruchami ręki wydawał komendy drużynie, nie spuszczać przy tym z oczu swojego przeciwnika z numerem trzecim.

Patrick Gilpayne odłączył od reszty, aby zmienić zlanego potem kuca. W biegu zsiadł z pędzącego zwierzęcia i prawie natychmiast wskoczył na grzbiet następnego, który czekał w pogotowiu.

– Podaj mi kij do polo – krzyknął w stronę Weroniki – pośpiesz się!

Wiedziała, że należy starannie dobrać długość kija do wysokości konia, ale zajęta oglądaniem meczu, nie mogła sobie przypomnieć dokładnych instrukcji Mike'a Dowse'a.

Patrick sklął ją głośno i porwał pierwszy lepszy kij ze stojaka.

– Nie przejmuj się nim – pocieszył ją Mike, kiedy Gilpayne popędził na środek boiska.

– Każdego z nas od czasu do czasu obrzuci błotem.

– Uprzedzałam cię, że to raptus – dodała Jackie, zajęta ścieraniem potu z kuca Gilpayne'a.

Po chwili zaczęli podjeżdżać po świeże konie pozostali zawodnicy i nie tracąc czasu wracali na boisko. Na kilka minut przed końcem meczu, na wybiegu stało siedem zgranych kuców, którymi należało się zająć.

Obie drużyny zaciekle walczyły. Grały na tym samym poziomie – jednakowo dobrym. Weronika zastanawiała się, co się stanie jeśli dojdzie do remisu.

Nagle ostry dźwięk sędziowskiego gwizdka przeciął powietrze. Weronika krzyknęła z przerażenia, gdy na tablicy pod nazwą zespołu przeciwnika również pojawiła się jedynka. Gilpayne ostro rugał zawodnika z numerem drugim, ale Kit

stanowczym ruchem ręki, zakończył sprzeczkę. Prawdopodobnie Gilpayne sfaulował swojego przeciwnika.

Bladon wjechał na wybieg, aby dosiąść ostatniego i najszybszego konia. Weronika popatrzyła na zegarek. Do zakończenia meczu pozostało 5 minut. Bladon, podobnie jak jego kuc, był zlany potem od stóp do głów. Zbliżyła się do niego, aby zapytać o samopoczucie, ale wystarczyło, że spojrzała na jego twarz – przypominał chmurę gradową.

Nie minęło kilka sekund, kiedy kuc kapitana drużyny znowu ciał kopytami zieloną nawierzchnię boiska. Minał kilku bocznych zawodników i, mimo że kryty był przez „trójkę”, mocnym uderzeniem przeniósł piłkę w miejsce, gdzie powinien ją odebrać David Hay z numerem pierwszym i strzelić gola. Niestety, kuc Davida słaniał się ze zmęczenia. Na domiar złego Hay był skutecznie kryty przez „czwórkę” z drużyny przeciwnej.

Wynik meczu stanął pod dużym znakiem zapytania. Weronika wstrzymała oddech. Nie tylko ona zresztą. Obok, w ogromnym skupieniu stała Jackie. Czuła jej zaciśnięte kurczowo palce na swoim ramieniu.

Oczy wszystkich skupione były na Bladonie, który galopem przeciął boisko i nie zatrzymując się nawet na moment uderzył kijem w piłkę. Sędzia obwieścił gol.

Całe Priory rzuciło się sobie w ramiona. Okrzykom na cześć zwycięzców nie było końca. Obserwowano z dumą, jak drużyna Bladona ustawiła się w jednej linii, a sir Anthony Sindon uścisnął mu dłoń. Trofeum zaś wręczała pani Sindon.

Później dzielna czwórka objechała z pucharem boisko i zgrabnie zeskoczyła z siodeł.

Stajenni natychmiast zajęli się zmęczonymi zwierzętami.

Patrick zaś wyciągnął z jakiegoś tajemnego schowka butelkę szampana i zaczął nią potrząsać. Widząc to, Richard Stilbrooc podszedł do Gilpayne’a i zabrał mu butelkę.

– Daj spokój, filistynie. Lepiej wypijmy tego szampana. Należy nam się chyba po tym wszystkim.

Odkorkował ostrożnie butelkę i wylał do srebrnego pucharu całą zawartość.

– Za nasze zdrowie! – krzyknął i upijając nieco podał naczynie następnej osobie.

Metalowa powierzchnia pokryła się kropelkami rosy. Weronika zamoczyła usta. Szampan był wytrawny i doskonale schłodzony. Czuła, jak musuje w ustach, a bąbelki powietrza rozkosznie rozpryskują się na podniebieniu. Napila się ponownie i spojrzała znad krawędzi naczynia. Natrafiła na wpatrzony w nią oczy Bladona.

Zdjął kask, miał zmierzwione włosy, a wokół głowy, w miejscu, gdzie spoczywał kask była odcisnięta gruba linia.

Kiedy zauważył, że patrzy na niego, uśmiechnął się. Poczowała, jak pod sercem robi jej się ciepło.

Podąła puchar dalej. Do grupy dołączyły dwie kobiety. Jedna z nich prowadziła za rękę małego, pucułowatego chłopca, który z kolei ciągnął na smyczy springerspaniela. Druga z nich pchała dziecinniego wózek.

Obydwie panie okazały się żonami Richarda i Davida. Złożyły serdeczne gratulacje wszystkim zawodnikom. Nawet dzieciom pozwolono napić się szampana. Śmiały się, kiedy bańki pękały im w ustach.

Patrick objął Weronikę. Zrobił to tak nagle, że omal nie zemdląła z wrażenia.

– Udało nam się. Wygraliśmy, mała! – krzyczał jej w ucho.

Zanim się zorientowała, pocałował ją w usta. Zdażyła tylko z obrzydzeniem odwrócić głowę w drugą stronę. Zobaczyła bladą od gniewu twarz Bładona.

– Przez ciebie o mało nas nie załatwili! – zamruczał szyderczo David Hay.

Gilpayne odsunął się od Weroniki i zeszywniał.

– Powtórz to jeszcze raz – nalegał.

– Powiedziałem, że przez tę twoją głupią i niebezpieczną taktykę o mały włos nie straciliśmy pucharu. Ten gol, który nam wbili, dostali od nas w prezencie.

– Dość tego – głos Bładona podziałał na nich jak zimny prysznic. – Ani słowa więcej. Jesteśmy jak jeden mąż i nikomu nie pozwolę nas poróżnić – zrozumiano?

## Rozdział 6

Weronika obejrzała się w lustrze. Była zadowolona. Suknia Peny po przeróbce leżała na niej jak ulał. Głęboki dekolot odsłaniał jej kształtne ramiona. Pochyliła się w stronę lustra i kiedy włosy opadły jej na czoło, odchyliła głowę raptownie do tyłu. Złociste włosy opadły łagodnie na plecy.

Założyła aksamitną wstążkę z kameą, która uwydatniała jej piękną, długą szyję. Odsunęła się od lustra, aby lepiej się sobie przyjrzeć. Westchnęła. „Jestem młoda i ładna” – pomyślała.

Odczuwała strach przed zejściem na dół, by przywitać się z ludźmi, którzy użyczyli jej tego pokoju, aby mogła się spokojnie przebrać. Z ogrodu dochodziły odgłosy rozmów prowadzonych przez gości, którzy zebrali się tam, aby wypić drinka przed bale. Czuła, że czekają na nią. Wahala się. W tym czasie przed dom zajechały kolejne wozy i w obecnej sytuacji nie miała wyboru, musiała się pokazać. Żeby choć Bladon czekał tam na nią, by zająć się prezentacją.

Kiedy Bladon stanął w drzwiach frontowych, ona drżąc i potykając się co chwilę doszła do schodów. Widziała z góry jego błyszczące, kruczoczarne włosy i doskonale skrojony garnitur wieczorowy.

Świadomość, że ją kochał, dodawała jej sił, wiedziała, że czeka ją cudowny wieczór.

Schodząc powoli w dół, widziała, jak Bladon przyglądał się jej. W pewnym momencie jakby na komendę stanęli w bezruchu. W jednej chwili cały świat przestał dla nich istnieć. Wstrzymując oddech, wpatrywali się w siebie chciwie. Bladon wyciągnął do niej rękę, a ona z uniesioną dłonią sfrunęła jak na skrzydłach w dół.

W ogrodzie zgromadziło się więcej ludzi, niż myślała. Kit znał ich wszystkich. Zatrzymywał się od czasu do czasu, aby ją komuś przedstawić. Wiedziała, że był z niej dumny.

Zewsząd padały gratulacje. Weronika uważała, że jej też się one należą. Przecież miała swój skromny udział w zwycięstwie.

W istocie, sukces drużyny był wynikiem ciężkiej pracy zarówno całej czwórki jak i stajennych, którzy dwoili się i troili, aby utrzymać konie w jak najlepszej kondycji. Kit świadom tego serdecznie im dziękował.

Do miejsca, w którym stali, powoli zbliżała się grupka ludzi. Już z dala rozpoznała ich twarze: David Hay i jego żona, Caroline, Richard Stillbrook z żoną

Luizą oraz Patrick Gilpayne z... Bianką.

Cofnęła się odruchowo, co nie uszło uwadze Bladona. Spojrzał zaskoczony, a następnie idąc za jej wzrokiem dostrzegł Biankę. Wciągnął powietrze głęboko do płuc – jego źrenice raptem zwężyły się. Ściskając Weronikę mocniej za rękę dodał jej otuchy.

– Witaj, Kit – Bianka zagadnęła ich pierwsza.

Ubrana była w białą suknię, pełną srebrnych dodatków. Jej ciemna karnacja ostro kontrastowała z bielą. Biała była też gardenia, wpięta w czarne włosy. W angielskim ogrodzie wyglądała naprawdę egzotycznie.

– Ciebie też witam, Weroniko. Jesteś przesłiczna, moja droga. Nigdy nie przypuszczałam, że dziewczyna przebrana za mleczarkę może wyglądać tak uroczo.

Słodycz jej głosu kontrastowała z chłodnym spojrzeniem. Dreszcz przeszedł Weronikę. Poczowała, jak jej twarz oblewa rumieniec, któremu nie mogła zapobiec.

Patrick śmiał się. Był wstawiony. Pewnie pił, zanim przybyli na bal.

Bladon chwycił ją delikatnie za ręce i spojrzał głęboko w oczy.

– Wyglądasz cudownie, Weroniko. Maria Antonina przebrała się za mleczarkę, aby wymknąć się z pałacu. Co jest dobre dla królowej, jest dobre i dla mnie.

Uniósł jej dłonie i ucałował – był to gest, który nie miał nic wspólnego z angielskim zwyczajem.

Wiedziała, że jego słowa nie były pustym komplementem.

– Spójrz, goście odjeżdżają do Barringham House. Czas, abyśmy poszli w ich ślady.

Przez jakiś czas trwało zamieszanie. Dziękowano gospodarzom za gościnę.

Potem Weronika rozsiadła się na siedzeniu brązowego daimlera. Tyle razy widziała ten wspaniały wóz, wjeżdżający na dziedziniec Hinton Priors, ale dopiero teraz spełniło się jej marzenie – siedziała obok ukochanego, w jego samochodzie.

Mocno oparła się o skórzany fotel. Wyjrzała przez okno. Choć nie jechali szybko, wiatr gwałtownie smagał jej twarz i rozwiewał włosy.

Za nimi, z charakterystycznym zgrzytem, towarzyszącym włączaniu trzeciego biegu, pędził sportowy samochód Bianki. Silnik ryczał, kiedy mijala ich limuzynę. Końce jej białego szala trzepotały na wietrze. Swoimi długimi, zgrabnymi palcami trzymała kierownicę.

Spojrzała wyzywająco na Bladona. Nie zareagował.

– Wiesz, Weroniko, o czym marzę? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, mówił dalej. – Żeby jechać dalej przed siebie i nigdy tu nie wracać. Bylibyśmy

szczęśliwi ze sobą, gdybyś tylko przystała na moją propozycję. Dlaczego nie chcesz wyjść za mnie? Nie ufasz mi?

Nie patrzył na nią, ale ona czuła, że marszczył groźnie brwi.

– Przestań, Kit – błagała – nie psuj mi tego cudownego wieczoru. To mój pierwszy bal w życiu.

– Jak sobie życzysz, Kopciuszk. Będziesz pamiętać ten dzień do końca życia – zaśmiał się i nagle przyśpieszył. – Czy wiesz, że pierwszy raz widzę cię bez spodni ... może z wyjątkiem tamtego wieczora, kiedy miałaś na sobie szlafrok – popatrzył na nią kątem oka – podoba mi się ta zmiana.

Dojechali do Barringham House. Kasztanowce kładły długie cienie na opuszczone boisko, które jeszcze niedawno było widownią zaciętej walki.

Okna na parterze domu były szeroko otwarte. Z namiotu dobiegała ich kakafonia dźwięków. Gościom przygrywały trzy różne zespoły. Ściany ogromnego namiotu podniesiono do góry, tak aby świeże powietrze mogło wypełnić całe jego wnętrze.

Prócz grających zespołów nikogo nie było w Barringham House. Parki zajęte rozmowami spacerowały wzdłuż alejki lub oglądały czarne łabędzie dostojnie pływające po jeziorze. <

W miarę jak przybywało ludzi, muzyka stawała się szybsza, zagrzewając wszystkich do tańca. Pomiedzy słupami, podtrzymującymi dach namiotu, porozwieszano serpentyny i wianki z pierwiosnków.

Ze swojego miejsca Weronika mogła obserwować tancerzy. Kobiety przypominały bajecznie kolorowe motyle.

Na stole stały dwa pojemniki wypełnione lodem. W środku chłodziły się wysokie, zielone butelki szampana.

Weronika czuła, że z każdym łykiem rozkoszne ciepło rozlewa się po całym ciele. Kiedy w pewnym momencie spojrzała na Bladona, wydawało się jej, że jest otoczony mgiełką, która łagodzi jego surowe oblicze.

Tańczyła na przemian z Bladonem i Richardem, potem znów z Bladonem i Davidem. Za wszelką cenę próbowała zapomnieć o ostrej sprzeczce między Bladonem a Gilpayne'em.

Obaj myśleli, że jest zajęty rozmową. Ona zaś stała kilka metrów od nich i dokładnie słyszała każde słowo.

Bladon chwycił Gilpayne'a za łokieć i przyciągnął go do siebie.

– Co ty wyprawiasz? Po co ją tu sprowadziłeś? – syknął.

Weronika domyślała się, że chodzi mu o Biankę.



– Bo miałem taką ochotę. – Gilpayne zachowywał się nonszalancko, widać było, że szukał zaczepki.

– Ale dlaczego właśnie ją?

– Bo taką miałem ochotę. O co ci chodzi? Chcesz je obie zatrzymać dla siebie?

– Tylko niczego nie próbuj popsuć. Jeżeli zauważę, że dokuczysz Weronice...

Nie dokończył, bo Gilpayne obrócił się na pięcie i pokazał mu plecy.

Gdyby tańczyła przez cały wieczór, nie przerywając ani na moment, może zapomniałaby o całym zajściu. Niestety, gdy tylko zmęczona siadała przy stole, widok ich zaciętych twarzy powracał, odbierając jej ochotę do zabawy.

W pewnym momencie orkiestra zagrała jej ulubioną melodie. Wstała i poruszając się rytmicznie, szła w kierunku Bladona. Spostrzegł ją i uśmiechając się wyciągnął ręce.

Patrick Gilpayne okazał się szybszy.

– Chodź ze mną, Weroniko – złapał ją wpół i zaciągnął na środek parkietu.

– Pokażmy tym osłom, jak się tańczy!

Na parkiecie zrobiło się tak ciasno, że nie można było wetknąć nawet szpilki. Jednak pod naporem olbrzymiego ciała gracza w polo tancerze rozpięzchli się na boki. Musiała przyznać, że mimo dużej wagi tańczył doskonale.

Aby nie robić zamieszania, Weronika poddała się jego ruchom. Wkrótce muzyka zwolniła rytm i stała się kusząca.

Gilpayne przycisnął ją mocniej do siebie i położył policzek na jej czole. Czowała na twarzy jego gorący oddech. Próbowwała odsunąć się od niego – na próżno. Jeszcze mocniej przycisnął ją do siebie.

– Nie rób tego, Weroniko. Powinniśmy zostać przyjaciółmi. Jesteśmy bardzo do siebie podobni.

Weronika nie odpowiedziała. Trzymał ją za mocno. Nie mogła zobaczyć twarzy Bladona, ale czuła jego karcący wzrok, który mówił: „Weroniko, nakazuję ci wrócić. „

– Jesteśmy bardziej podobni do siebie, niż sądzisz. – Gilpayne nie przerywał. – Oboje umiemy dopiąć swego. Pragniesz Bladona i postawisz na swoim, nawet za cenę rozbicia jego związku z Bianką. Nikt nie zgadłby, patrząc w twoje ogromne, niewinne oczy, jakim jesteś bezlitosnym stworzeniem.

Jego ręka niebezpiecznie powędrowała w dół po jej plecach.

– O co ci chodzi? – syknęła przez zaciśnięte zęby.

– O ciebie, to oczywiste. Pragnę też, aby Kit i Bianka pozostali razem.

– Przynajmniej raz jesteś wobec mnie uczciwy.

– Powiem więcej. Mam nad tobą przewagę, jestem Bladonowi niezbędny. Jeżeli odejdę, cała jego drużyna poło rozpadnie się. Po dzisiejszym zwycięstwie taki obrót sprawy oznaczałby dla niego tragedię. A ty możesz czmychnąć gdzie pieprz rośnie i nawet po tobie nie zapłacze.

Jego pewność siebie wytrąciła ją z równowagi. To wszystko brzmiało przerażająco logicznie. Chyba że Kit naprawdę ją kochał. Musiała w to wierzyć, nie miała wyboru. Kiedy tylko zaczęły targać nią wątpliwości, zagłuszała je wiarą w jego prawdziwe uczucia wobec niej. Modliła się, aby jak najdłużej wytrwać w tym przekonaniu.

Jej głos był wzburzony, a kiedy cedząc przez zęby każde słowo powiedziała:

– Puść mnie, ty łajdaku! – Gilpayne wybuchnął śmiechem.

– Powtórz to jeszcze raz. Własnym uszom nie wierzę.

Tuż za nim usłyszała głos Bladona. Był spokojny i opanowany.

– Teraz moja kolej na taniec z Weroniką.

Gilpayne rozłożył ramiona i cofnął się wprost na inną tańczącą parę.

– Jak chcesz, ty tu jesteś szefem.

Twarz Bladona na dźwięk tego ostatniego słowa spochmurniała.

– Zostaw nas samych – ton jego głosu był ostry.

Bladon dotknął ją tak czule, jakby pragnął uspokoić roztrzęsione źrebiątko. Próbował jej wynagrodzić gruboskórność Gilpayne'a. Kiedy tańczyli, jego ręce spoczywały na jej ramionach. Tulił ją do siebie, a ona powoli uspokajała się. Otaczający ich ludzie, hałas wokół, dym z palących się papierosów – to wszystko w jednej chwili przestało dla niej istnieć. Czowała jedynie jego ciało, napierające na nią delikatnie i ciepły oddech na włosach.

Był taki moment, że stali obok siebie nieruchomo, a łagodny wietrzyk owiewał jej twarz. Weronika zauważyła, że są w ogrodzie, poza namiotem. Księżyc świecił jasno. Przypominał oko na fioletowym niebie. Na zachodzie poświata zabarwiała nieboskłon akwamaryną.

Z tej odległości słyszeć było cichą, ponętą muzykę. Poruszali się sennie w jakiejś niewysłowionej harmonii. Ręce i nogi ciążyły jej. Musiała oprzeć się o Bladona. Czowała falowanie jego piersi i miarowe bicie serca.

Jedyną muzyką była dla nich cisza nocy, która otulała ich połami czarnego płaszcza jak iluzjonista w zaczarowanym teatrze.

Z błogostanu wyrwało ich przeraźliwe hukanie sowy. Odskoczyli od siebie śmiejąc się, ale ich śmiech nie trwał długo. Weronice zrobiło się smutno, jak dziecku, które nagle obudziło się z bajkowego snu. Odniosła wrażenie, że coś

cudownego, lecz bardzo kruchego, wymyka jej się z rąk.

Bladon nachylił się w jej stronę, ale w ciemności nie mogła dostrzec jego twarzy, jedynie błyszczące oczy.

– Znowu jesteś smutna? – zapytał ochryplym głosem. Potrząsnęła głową.

– Nie rozumiem cię. Mówisz, że mnie kochasz i wiem, że to prawda, bo widzę to w twoich oczach.

Weronika spuściła głowę.

– Co sprawia, że nie możemy zbliżyć się do siebie? – nalegał.

Weronika czuła, jak jej serce rozpada się na drobne kawałki. Tak bardzo chciała, lecz nie mogła mu odpowiedzieć.

Delikatnie odsunął jej złociste włosy z czoła, aby móc spojrzeć ukochanej w oczy – tam szukał odpowiedzi na swoje pytania.

Rozpalonymi ustami niemal dotykał jej skóry. Pocałował ją – nie raz, a chyba ze sto razy: w szyję, usta, powieki. Każde muśnięcie jego warg parzyło, było niczym pustynny deszcz, który zamiast nawadniać spragnioną wilgoci ziemię, wysuszał ją do reszty. Słyszała, jak jego oddech staje się szybszy.

Splotła dłonie na jego karku, wkładając mu palce we włosy. Wydawało się jej, że ich ciała stopiły się w jedną całość. „Gdyby teraz poprosił mnie o rękę” – myślała – „na pewno odpowiedziałabym – tak. Przecież życie bez niego byłoby szaleństwem. Ale Bladon uparł się. Po raz drugi nie chce mi się oświadczyć” – ta ostatnia myśl rozżłościła ją.

Bladon odezwał się stłumionym głosem:

– Boję się, że dłużej nie zniosę twojego milczenia. Posuwasz się za daleko, Weroniko.

Jego dłonie pieściły jej plecy i posuwały się niebezpiecznie w dół ciała. Weronika czuła, że traci kontrolę, że jeszcze moment, a...

– Nie tutaj – wyszeptała. – Nie w ten sposób.

Z rozpaczliwym okrzykiem wyrwała się z jego objęć i pobiegła przed siebie. Kiedy dotarła do jeziora, jej sandały i suknia były mokre. Nie miała siły biec dalej. Usiadła na zwałonym pniu, podkurczyła nogi i wybuchnęła spazmatycznym płaczem. Dlaczego tak bardzo cierpi? Przecież wszystko wydawało się takie proste. Poznała go, pokochali się. Kiedy prosił ją o rękę, wystarczyło powiedzieć jedno proste „tak”, a byłaby szczęśliwą panną młodą.

Wszystko zniweczyły czyjeś okrutne słowa. Zasiały w jej sercu niepokój i napęłniały ją nieufnością.

Bladon wiedział, że Weronika go kocha, ale był zbyt dumny, by ponownie

prosić ją o rękę. W ten sposób ich spotkania bardziej przypominały tortury niż miłosne uniesienia.

Kiedy rytm serca uspokoił się, a oddech stał się miarowy, poczuła dreszcze, które wywołał chłodny wiatr, wiejący od jeziora.

– Zimno ci? – Bladon zapytał ciepło.

Pokiwała głową, a on zarzucił na jej ramiona marynarkę. Była rozgrzana ciepłem jego ciała.

– Chodźmy do domu – rzekł i wyciągnął do niej rękę.

Przez chwilę ponownie stali obok siebie, a ona czuła, jak jego ręka drży w jej dłoni. Idąc bardzo powoli, wrócili do namiotu.

Po ciszy panującej na zewnątrz potrzebowali trochę czasu, aby przyzwyczać się do hałasu i tłoku.

Weronika czuła się zagubiona jak małe dziecko w supermarkecie.

Jedynym pocieszeniem była ciepła dłoń Bladona, spoczywająca na jej ramieniu. Patrzył na nią uśmiechając się, ale smutek przyćmiewający blask jego oczu przerażał ją.

– Już dobrze? – zapytał. – Pożegnamy się teraz ze wszystkimi i zabiorę cię do domu. Zgadzasz się, Kopciuszkę? Zresztą i tak minęła mi ochota na zabawę.

„Pewnie chce mi wynagrodzić to, że pozwolił mi biec samotnie przez łąkę w środku nocy” – pomyślała.

– Kopciuszek da sobie radę bez księcia – zażartowała – może sam wrócić do domu.

Poruszył przecząco głową i ruszyli w stronę stolika, przy którym siedzieli: Richard, Caroline, Luiza i Patrick Gilpayne. David Hay tańczył z Bianką. Marynarka Patricka wisiała na poręczy krzesła, a on sam położył nogi na drewnianym stołku, opartym o słup namiotu.

– Proszę, proszę, kto to nas zaszczyca swoją obecnością – Gilpayne przywitał ich z udawaną serdecznością.

– Myślałem, że już nas opuściliście. – Trzymał się nieźle, choć wypił sporo tego wieczoru.

– Wybaczcie nam, ale chcieliśmy już wrócić do domu – oznajmił Bladon.

Gilpayne postanowił pożegnać Bladona w imieniu wszystkich:

– Zmykajcie czym prędzej! Nic tu po was!

Bladon zacisnął zęby i spokojnie powiedział:

– Dobranoc.

Na to Patrick:

– Może wam zamówić śniadanie do łóżka? Wolicie jajeczka na twardo czy na miękko? – wybuchnął śmiechem, ale szybko przerwał, widząc jak Bladon nagłym ruchem ręki odsuwa dzielący ich stół.

Nie namyślając się długo, Richard Stillbrook skoczył między nacierające na siebie niedźwiedzie.

– Nie tutaj, na miłość boską! Co wy wyrabiacie?! – skarcił ich.

– Daj spokój, Kit, nie chciałem cię urazić – odezwał się Gilpayne, wstrząśnięty reakcją Bladona.

Kit zignorował jednak przeprosiny Patricka, poprawił ręką włosy, potem bez słowa rozejrzał się dokoła i odwrócił się twarzą do Weroniki.

Dziewczyna trzęsa się jak w febrze. Bladon chciał podejść do niej, ale Luiza Stillbrook zatrzymała go w połowie drogi.

– Zostaw ją w spokoju. Nie widzisz, że jest w szoku.

– Chodź, Weroniko – objęła ją ramieniem i delikatnie przytuliła. – Zabiorę cię do domu.

– A co będzie z tym bałaganem? – Weronika wskazała ręką na parkiet, gdzie leżało potłuczone szkło.

– A co ma być? Zaraz ktoś to posprząta. Niech cię o to głowa nie boli.

Siedząc na tylnym siedzeniu w samochodzie Richarda i Luizy, słyszała urywki ich rozmowy. Jej uszu dobiegły takie słowa:

– Co za hańba, biedne stworzenie, walczyli ze sobą jak dwa psy o kość.

„... o kość” – Weronika powtórzyła w myślach za Luizą – „tak się właśnie czuję. „

Wcisnęła się głębiej w fotel i szczelniej zawinęła w marynarkę Bladona. Przycisnęła policzek do miękkiego materiału, próbując przypomnieć sobie wyraz jego twarzy. Ale nie wtedy, gdy rzucił się z pięściami na Gilpayne’a, a wtedy gdy śmiał się i mówił, że ją kocha.

Luiza odwróciła się do niej i zaproponowała:

– Może zostaniesz na noc u nas?

– Bardzo dziękuję, ale nie mogę.

– Dlaczego? Nie sprawisz nam kłopotu. Poza tym uważam, że nie powinnaś zostać sama.

– To miło z waszej strony, ale nic mi nie jest, dam sobie radę – próbowała ich przekonać, choć czuła, że nie bardzo wierzą.

– Im szybciej wrócę do siebie tym lepiej, wierzcie mi. Sama muszę uporać się ze swoimi problemami. Tak czy owak jestem wam wdzięczna za troskę.

– Skoro tak uważasz – Luiza zawiesiła wyczekująco głos.

– Jest tak, jak mówiłam – uwierz mi.

Kiedy zatrzymali się przed domem, Weronika pożegnała się z nimi, zatrasnęła drzwi samochodu i powstrzymując napływające do oczu łzy, weszła do budynku.

## Rozdział 7

Weronika przemyła twarz chłodną wodą i popatrzyła w lustro. Miała podkrążone i opuchnięte oczy.

„Wyglądam jak ktoś, kto przez całą noc nie zmrużył oka” – pomyślała. Czekał ją kolejny ciężki dzień. Musiała przecież rozmawiać z ludźmi, odpowiadać na ich pytania. Na pewno nie uda się zbyć byle czym Jackie. Będzie jak terier warowała przy niej, do czasu gdy upewni się, że wie już wszystko o balu.

Może powinna jej opowiedzieć także o fejerwerku, jaki zakończył zabawę. Wyobrażała sobie minę Jackie, kiedy jej oznajmi: „Omal nie oddałam się Bladonowi, a on chciał się bić o mnie z Gilpayne'em.” Wzdrygnęła się na samo wspomnienie tego incydentu, ale zaraz wróciła myślami do balu. Przypomniała sobie, jak stali spleceni ze sobą w miłosnym uścisku, wpatrzeni w księżyc na atramentowym niebie. Przypomniała sobie jego spojrzenia i pocałunki i lzy ponownie napłynęły jej do oczu. Mimo że bal nie skończył się happy endem, był cudowny.

Dokończyła się ubierać i trzymając buty w rękę, zeszła w dół. Bladon siedział przy stole w kuchni. Weronika zatrzymała się zaskoczona. Zawahała się. Miała ochotę odwrócić się na pięcie i biegiem wrócić na górę. Bladon siedział tyłem do niej i nie słyszał, kiedy weszła. Miał jeszcze na sobie wieczorowy strój tyle, że bez marynarki. Pani Dowse stała przy piecyku, zajęta gotowaniem. W pewnym momencie zerknęła na schody i zauważyła Weronikę.

– Wstałaś już? – zapytała radośnie, ale kiedy zobaczyła zapłakaną twarz Weroniki, westchnęła.

– Co się stało, moja maleńka?

Bladon wstał od stołu.

– Witaj, Weroniko – powiedział łagodnie. – Przyszedłem do pani Dowse na herbatę. Nie spałaś? – zabrzmiało to w jego ustach bardziej jak stwierdzenie.

– Myślisz, że mogłam zasnąć po tym, co się wczoraj wydarzyło? – Weronika oblała się rumieńcem i zwiesiła głowę.

– Dobrze się czujesz? – zapytał. • Pokiwała twierdząco głowę.

– Pójdę na górę po twoją marynarkę.

– Nie musisz. – Podeszedł do niej. – Chcę z tobą porozmawiać.

Pani Dowse przykryła czajnik lnianą ściereczką i odezwała się:

– Ja pójdę po pana marynarkę.

– Dziękuję pani. Czy możemy pospacerować po ogrodzie?

– Proszę bardzo. Czujcie się jak u siebie.

Bladon był nieogolony, miał szarą cerę i zaczerwienione oczy. Pomyślała sobie, że pewnie jej twarz wygląda równie przygnębiająco.

– Chcę cię przeprosić – powiedział.

Weronika uniosła rękę i zaczęła poprawiać jego włosy.

– Nie musisz mnie za nic przeproszać. Stało się.

– Po prostu nie mogłem znieść...

– Nie rozmawiajmy już o tym.

Objął ją delikatnie i przytulił swój szorstki policzek do twarzy dziewczyny. Nie rozmawiali ze sobą. To że stali obok siebie, wystarczyło im. Nagle Bladon roześmiał się.

– Dałbym sobie głowę uciąć, że jesteś wiedźmą i swoimi czarami sprawiasz, że nie mogę się od ciebie uwolnić.

– A masz taki zamiar? – zapytała.

– Tak, bo czuję, że oszaleję – wypuścił ją z objęć i jakby nigdy nic zajął się zrywaniem liści rozmarynu. – Nie chcesz być ze mną. Nie chcesz też, abym zapomniał o tobie. Czasami myślę, że byłoby lepiej, gdybyśmy się nigdy nie spotkali.

Weronikę zmroziły jego słowa. Miała ochotę pożegnać się z nim raz na zawsze. „Do końca życia nie zapomnę zapachu rozmarynu” – pomyślała, patrząc jak Bladon rzuca na ziemię jeden liść po drugim.

– ... Ale stało się inaczej – kontynuował – i nic nie możemy na to poradzić. Powiedz mi, wiedźmo, na jak długo przykułaś mnie do siebie swoim niewidzialnym łańcuchem? Pewnie na zawsze? – Ponownie objął ją w pól i przyciągnął do siebie.

Weronikę zaskoczyła ta nagła zmiana nastroju. Nie mogła zrozumieć, że u niego radość może w jednej chwili przemienić się w smutek albo w złość. I na odwrót.

– Wiesz, co myślę? – uśmiechając się szepnęła mu do ucha – że należy się nam porządne śniadanie.

Bladon wybuchnął śmiechem. Potem, w kuchni pani Dowse, kiedy połykał trzecią z kolei kromkę chleba, powiedział:

– Powinnaś solidnie wypocząć – i nie czekając na jej odpowiedź, mówił dalej. – Należy ci się urlop, bo pracujesz jak niewolnica, a do tego nie sypiasz po nocach.

– Dziękuję, Kit. Może w środę? Chciałabym odwiedzić moją siostrę.



– Zgadzam się. Dzisiaj też masz wolne. Wyśpij się, a po południu pojedziemy nad morze. – Wstał i zaniósł swój pusty talerz do zlewu.

– Dziękuję pani za wyborne śniadanie. Życzę sobie, Weroniko, abyś na przejażdżkę założyła sukienkę – pogroził jej żartobliwie palcem.

Kiedy kilka godzin później zajechał pod drzwi wejściowe, miała na sobie letnią sukienkę w paski, w kolorze angielskiego trawnika. Przed wyjściem obejrzała nogi. Były białe jak mąka. „Bo przez cały czas pracuję w spodniach” – pomyślała. Niestety, praca w stajni bez bryczesów była nie do pomyślenia.

Bladon ogolony i wykąpany wyglądał o wiele korzystniej. Był ubrany w dzinsy i koszulkę polo.

„Całe popołudnie spędzę tylko z nim” – myślała, sadowiąc się na przednim siedzeniu samochodu.

Podczas jazdy zerkła na niego ukradkiem, oglądała jego czarne, kręcone włosy. Podziwiała mocny kark, mięśnie ramienia, napinające i rozluźniające się, gdy zmieniał biegi. Zauważyła też, że mimo zgolonego zarostu, jego cera zachowała ciemną karnację. Na skroni miał dwa siwe włosy. Zabawne, że do tej pory ich nie spostrzegła.

Minęli Salisbury i za Cranbourne Chase skręcili w drogę prowadzącą do Blandford. Weronika wystawiła twarz na słońce, rozkoszując się podmuchami wiatru, które rozwiewały jej włosy. Bezsenna noc coraz bardziej dawała się jej we znaki. Zapadła w lekki sen, z którego obudziła się dopiero wtedy, gdy Bladon zatrzymał samochód.

Kiedy otworzyła oczy, popatrzył na nią i zachichotał.

– Wiesz, że chrapałaś?

– Wykluczone. Pewnie się przesłyszałaś.

– Chcesz mi wmówić, że coś zgrzytało w silniku w tym samym czasie, kiedy ty uciełaś sobie drzemkę? – Pogłaskał ją pieszczotliwie po głowie. – Jesteś zmęczona? – zapytał. Przytaknęła. Była zmęczona, ale o wiele spokojniejsza niż rano.

Zatrzymali się przed karczmą, zbudowaną z szarego kamienia. Weronika usiadła na ławce i niczym Jeninna Puddledock zajęła się oglądaniem białych kaczek. Nie minęło kilka minut i ponownie zapadła w płytki sen.

– Znowu śpisz? – Bladon śmiał się, stojąc nad nią z tacą wypełnioną jedzeniem.

– To tak jakbym podróżował z królem śpiochów, Ripem van Winkelem!

– Przepraszam, jestem do niczego – potrząsnęła głową.

– Pleciesz bzdury. Śpij sobie do woli. Nie jesteś przecież w pracy. – A po

chwili dodał: – Obojgu nam należy się odpoczynek. Od momentu, gdy poznaliśmy się, jesteśmy ciągle pod obserwacją wścibskich oczu. Nawet na chwilę nie mogliśmy zostać sami.

Weronika kiwnęła głową. – Wiem, co chcesz przez to powiedzieć. Wszystko wydaje się być takie nierealne. Dokąd jedziemy? – To tajemnica, ale spodoba ci się tam, zobaczysz. Po kilku następnych milach zatrzymał samochód i oznajmił:

– To już tu, jesteśmy na miejscu.

Przed nimi rozpościerała się zatoczka w kształcie podkowy, otoczona kredowymi skałami. Z miejsca, w którym na chwilę się zatrzymali, przypominała chusteczkę do nosa, ale kiedy lawirując między ostrymi krawędziami grani dotarli do brzegu, Weronika stwierdziła, że zatoka nie jest taka mała.

Byli sami. Morze wściekle zalewało skały białą pianą, pozostawiając na linii przyływu grube warstwy muszli. Niektóre były połamane przez fale, inne przepięknie błyszcząły w słońcu, ukazując resztki macicy perłowej. Piasek był gorący. Weronika zdjęła sandały i zagrzebała w nim stopy. Odczuwała przyjemny chłód.

– To cudowne miejsce.

– Wiedziałem, że ci się tu spodoba. To jest jeden z moich ulubionych zakątków. Czy uwierzysz, że nikt prócz mnie nie odważył się zejść na dół po skałach. Ludzie wolą podpłynąć tu łodzią. To o wiele bezpieczniejsze. „Ciekawe, czy był tu razem z Bianką?” – pomyślała nie bez cienia zazdrości.

– Często przyjeżdżałem tu z rodzicami, jeszcze jako mały chłopiec – kontynuował.

– Potem po powrocie z Argentyny, odnalazłem zatokę na nowo. Myślałem, że zmieni swój wygląd – uśmiechnął się i rozejrzał dookoła – na szczęście myliłem się.

Kiedy skończył mówić zdjął koszulę i położył ją na piasku. Weronika wzdrygnęła się na myśl, że będzie musiała rozebrać się przy nim. Pozbyła się więc sukienki i zanim Bladon zdołał zobaczyć jej ciało w mocno wykrojonym bikini, zanurzyła się w morzu.

Po chwili usłyszała za sobą głośny plusk i z wody wynurzyły się mokre, czarne kędzioły. Śmiali się i pluskali niczym foki. Potem Weronika zanurzyła się w wodzie i wystrzeliła do przodu kraulem. Płynęła szybko i z gracją. Była przy tym pewna, że Bladon lada moment ją wyprzedzi, ale on tylko przemknął pod wodą i parskając wynurzył głowę.

– Doskonale pływasz – powiedział.

– Zająłam pierwsze miejsce w okręgowych mistrzostwach pływackich szkół w 1980 roku – wyrecytowała i nurkując chwyciła Bladona za kostki. Potem nagłym skrętem ciała wywróciła go do góry nogami. Zaczęli się poszturchiwać figlarnie niczym wydry w tęczowych rozbryzgach fal.

Po wyjściu z wody Bladon rozciągnął się na piasku, a Weronika przycupnęła obok niego i podciągnęła kolana pod brodę. Udawała, że nie patrzy w stronę Kita. Intrygowała ją jego śniada skóra, która nawet w zimie nie traciła barwy.

– Weroniko – Bladon uśmiechnął się pod nosem. – Zawsze tak siedzisz?

– Dlaczego pytasz? – odparła. Miał przymknięte oczy choć wydawało jej się, że szóstym zmysłem wyczuwał jakby co ona robi. To odbierało jej odwagę.

– Bo przypominasz drozda podczas śnieżycy. Jesteś piękną kobietą, nie musisz niczego ukrywać.

Położyła głowę na kolanach, podkurczając je jeszcze mocniej.

– Obiecuję, że nie powtórzy się wczorajszy wieczór. Czy tego się obawiasz? – zapytał.

– Nie dotknę cię, jeżeli nie będziesz chciała.

„Ależ ja chcę” – pomyślała, drżąc na całym ciele. – „W tym cały kłopot”.

– No cóż zdrzemnę się i tobie radzę zrobić to samo.

Oddychał spokojnie jak ktoś, kto powoli zapada w sen.

Wyprostowała nogi i niepewnie położyła się obok niego. Wkrótce pod działaniem gorących promieni mokry piasek na jej kostiumie przypominał do złudzenia, srebrne opiłki metalu. Przesypywała muszelki z ręki do ręki. Jej oczy iskrzyły się radością jak u dziecka.

Bladon otworzył oczy i spojrzał na jej plecy. Nie wyglądał jak ktoś, kto dopiero się obudził. Powoli odwróciła się w jego stronę.

Szli przez plażę, trzymając się za ręce. Piasek pod stopami stawał się bardziej wilgotny. Był to znak, że zaczyna się przyptyw. Ślady ich ciał w miejscu gdzie leżeli, zmyła woda „Tak jakby nas tu nigdy nie było” – pomyślała ze smutkiem.

Piasek był jeszcze ciepły, choć słońce świeciło już nisko nad horyzontem. Dzień powoli dobiegał końca.

„Po raz pierwszy byliśmy naprawdę sami. Szkoda tylko, że tak krótko” – pomyślała.

Wspięli się z powrotem na szczyt skały i patrzyli w dół.

Zatokę okrywał cień, a kolor piasku niemal zlewał się z kolorem morza.

– Będziemy tu przyjeżdżać, kiedy tylko zapragniesz. „A czy będziemy przywozić tu nasze dzieci tak jak twoi rodzice ciebie?” – pomyślała.

Kiedy dojechali do Hinton Priors, było ciemno. Letnia sukienka, idealna na upalny dzień, w sportowym samochodzie bez dachu, w chłodny wieczór, była nader skąpym odzieniem. Bladon zatrzymał się przed domem pani Dowse. Świeciło się tylko w jej sypialni. Weronika przez moment widziała, jak ktoś poruszał tam firanką „Może mi się tylko wydawało” – pomyślała.

– Umieram z głodu, ty pewnie też. – Dotknął jej nagiego ramienia. Było zimne jak lód. – Głupio postąpiliśmy odwlekając nasz powrót. Proponuję abyśmy pojechali do mnie. Poczęstuję cię czymś gorącym. Pani Dowse nigdy nie wybaczyłaby mi, gdybyś dostała zapalenia płuc.

Nie dał jej nawet czasu na zastanowienie się, tylko włączył silnik i ruszając z impetem, skręcił w kierunku swej posiadłości. W sypialni pani Dowse wyraźnie poruszyła się firanka. Tym razem była tego pewna.

Gdy dojechali na miejsce, przywitało ich ujadanie psów. Przez drzwi do ogrodu weszli do środka. Te same drzwi, którymi pamiętnego poranka wślizgnęła się do jego biura. Zanim Bladon włączył światło, usłyszeli chrobot pazurów o kamienną posadzkę i dwa kudłate psy zwały się na gospodarza.

– Przepraszam, pieski – powiedział, próbując odzyskać równowagę. – Jutro zajmę się wami, obiecuję.

Po tych słowach zostawiły go i nie mniej entuzjastycznie podbiegły przywitać się z Weroniką.

– Dostyc tego, wracajcie na swoje posłania. – Przysunął krzesło bliżej pieca. – Usiądź Weroniko. Tu jest cieplej. Pójdę na górę po sweter dla ciebie. Zaraz wracam.

Zanim usiadła, postawiła czajnik na gazie. Psy zamiast na posłaniu, przycupnęły obok krzesła i położyły głowy na jej kolanach. Głaskała je po uszach, tak jak robi to Bladon.

– Byłam z waszym panem na wspaniałej wycieczce – zwierzyła im się. – Najcudowniejszej w życiu.

Weronika była zaskoczona umiejętnościami kulinarnymi Bladona. Gdy wrócił, nie minęło kilkanaście minut, jak siedzieli przy dymiącej kolacji. Przyrządził coś, co przypominało risotto. Pamiętała, że kiedy zabierał się do pracy, otworzył puszkę i podejrzenie wyglądającą zawartość wrzucił do rondla. Wątpiła, czy to co wyczaruje z tej kupki mięsa i ryżu, będzie kiedykolwiek nadawało się do spożycia. Myliła się. Danie było wyborne. Zjedli z apetytem podwójną porcję.

– Doskonała kolacja – powiedziała.

– Nie najgorsza. Mogłem dodać więcej bazylii... Kawę wypijemy w salonie, z

dala od chrapiących psów.

Tę część domu widziała tylko przez moment. Salon miał wystrój w kolorze różowym i zielonym.

Bladon zapalił lampę i otworzył okno.

– Czy jest ci już cieplej? – zapytał.

Usiedli w wiklinowych fotelach z miękkimi poduszkami.

Noc była cicha. Wokół unosił się zapach lewkonii i rozedy. Siedzieli w milczeniu. Sweter z surowej wełny drażnił jej zaczerwienioną od słońca skórę.

W pewnym momencie Bladon chrząknął. Widać było, że ma coś ważnego do powiedzenia, tylko nie wie jak zacząć.

– Musimy się rozstać na jakiś czas – przyjrzał się jej badawczo. Jednak nie poruszyła się. – Lecę do Argentyny. „Zabierz mnie ze sobą, zabierz mnie ze sobą” – powtarzała w myślach.

– Tyle czasu odkładałem tę podróż – mówił coraz szybciej, tak jakby spokój na jej twarzy odbierał mu odwagę. – Nie wyjeżdżam na długo, – urwał w połowie zdania, mając nadzieję, że tym razem mu odpowie. – Gniewasz się, Weroniko, na mnie? Odpowiedz!... – Wziął jej dłoń w swoje ręce. – Zabrałbym cię ze sobą. – Jej oczy nagle się ożywiły – ale potrzebna mi jesteś tu w Hinton Priory, gdyż Bob Fuller pojedzie ze mną. Będę potrzebował zaufanego pomocnika. Chcę, żebyś go zastąpiła.

Aż podskoczyła z wrażenia.

– Tak bardzo mi ufasz?

– Nie wyobrażam sobie lepszego szefa mojej stadniny.

– Co inni powiedzą? Przecież dłużej pracują u ciebie.

– Ja jednak wolę ciebie. Wiem, że mogę na ciebie liczyć. Masz dużo zdrowego rozsądku i intuicję, tak potrzebną przy pracy ze zwierzętami. Wszędzie przyjęliby cię z otwartymi rękoma.

Pewnie nie raz zamierzałaś odejść ode mnie? – Zajrzał jej głęboko w oczy, choć wiedziała, że żartuje.

– Nie raz, a tysiąc razy – odpowiedziała mu tym samym tonem.

– Zapewniam cię, że wszyscy będą zadowoleni. Zależy mi też na psach. Chciałbym, żeby zostały w dobrych rękach. Dasz sobie radę?

– Muszę.

– Podczas naszego pierwszego spotkania odniosłem wrażenie, że podłazsz każdej pracy.

– Zdaje mi się, że od tamtej chwili upłynęły wieki – westchnęła.

- Masz całkowitą rację, Weroniko – zgodził się z nią. – Kiedy wrócę... – urwał.
- „Zdecydujesz, co będzie dalej z naszą przyszłością” – uprzedziła go w myślach.
- Kiedy wyjeżdżasz – zapytała niepewnie.
- Pojutrze.
- Tak szybko? Jest jeszcze tyle rzeczy do omówienia.

Nie pamięta, kiedy zasnęła. Obudziła się następnego dnia. Bolał ją kark. Leżała na kanapie w salonie Bładona. Odsunęła na bok koc, którym była przykryta i założyła stojące przy sofie sandały. Wygnieciona sukienka leżała na oparciu. Na próżno próbowała wygładzić zagniecenia na materiale. Poprawiła więc włosy i rozmasowała szyję.

Dom wydawał się być opuszczony.

W kuchni gotowała się woda, a na stole stały dwa puste kubki. Kiedy spojrzała na zegar, wybijał właśnie piątą dwadzieścia. Wpadła w panikę, lecz gdy podbiegła do drzwi wejściowych, usłyszała zbliżające się kroki Bładona.

- Dokąd to, śpiochu? – Zatrzymała się.
  - Do pracy – odpowiedziała mu pośpiesznie.
  - Może najpierw wypijesz ze mną kawę?
  - Muszę się przebrać. Nie chcę, aby ktoś mnie zobaczył w tym stroju.
  - W tym stroju? Wyglądasz wspaniale. – Podał jej kubek z gorącą kawą.
- Usiadła i popijając płyn małymi łykami, powoli uspokajała się.

– Wypałaś się? – zapytał.

– Jeszcze jak – zarumieniła się.

– Nie chciałem cię budzić. Kiedy zasnęłaś nakryłem cię kocem i zostawiłem w salonie. Potrzebowałaś snu jak mało kto.

– To zrozumiałe. Ostatni raz leżałam w łóżku w piątek.

– Biedactwo. Byłem taki surowy dla ciebie.

Weronika uśmiechnęła się. Nie mogła być z nim szczerą. Jeszcze nie teraz.

– Dziękuję za wczorajszy dzień. Było cudownie. Gdyby nie...

– Gdyby nie co?

– Nie, nic – sama nie wiedziała, o co jej dokładnie chodzi. – Gdyby nie było między nami tyle niedomówień. Zresztą muszę już iść – odpowiedziała.

Kiedy weszła do domu, Pani Dowse krzątała się po kuchni. Obrzuciła ją wzrokiem pełnym dezaprobaty.

– Niech sobie myśli o mnie, co chce – Weronika zamruczała pod nosem, przeglądając się w lustrze. – Niczego złego nie zrobiłam. – Nerwowo szczotkowała włosy. – Niech sobie wszyscy myślą, co chcą. – Weronika nie miała ochoty nikogo

przepraszać.

Wkrótce przekonała się jak niewiele wie o zarządzaniu stadniną i jak mało czasu jej pozostało, aby się czegokolwiek nauczyć.

Zaraz na początku Bob Fuller przekazał jej swoje obowiązki. Pakował jej do głowy mnóstwo szczegółów dotyczących rozmów z dostawcami paszy dla kuców, rachunków za weterynarza, księgowania i uzupełnienia zbiorników z wodą. Pod koniec dnia czuła, że ma w głowie niezły mętlik.

– Nie przejmuj się. Nauczysz się wszystkiego. – Fuller położył rękę na jej ramieniu. – Zarządca nigdy nie zgodziłby się oddać stadniny w twoje ręce, gdyby nie miał pewności, że dasz sobie radę.

– Tu nie chodzi o to, co on sądzi, a o to co ja sama odczuwam. Powiem panu szczerze, że to wszystko przeraża mnie.

– Nie przejmuj się. Przecież w razie czego możesz zadzwonić do nas lub wysłać telegram.

Najbardziej martwiło Weronikę to, jak przetrwać następne sześć godzin.

W ciągu dnia spotkała Bladona kilkakrotnie i za każdym razem czuła, że nie przeżyje rozstania.

Taksówka przyjechała po nich punktualnie o dwudziestej. Będą musieli przenocować na lotnisku, aby złapać najwcześniejszy samolot. Bob Fuller wrócił do domu. Musiał się przebrać i zabrać swój bagaż. Kiedy zobaczyła, jak ich samochód mija bramę, krew uderzyła jej do głowy. Mimo to powróciła do rachunków za paszę, ale cyfry rozmazywały się jej przed oczami. Oparła głowę na dłoniach i głęboko westchnęła.

– Nie rozstajemy się na długo – Bladon oznajmił jej to z taką czułością, że zupełnie zbił ją z tropu. Przez kilka kolejnych sekund nie mogła wydobyć z siebie głosu, potem wycofała się do biura, on jednak nie wszedł za nią. Gdyby to zrobił, pewnie błagałaby go, aby nie wyjeżdżał.

W pamięci utkwiał jej ból w jego oczach, gdy machał na pożegnanie.

Na dziedzińcu po ich odjeździe zapanowała cisza. Zwykle o tej porze ze stajni dobiegał stukot kopyt i odgłos szurania butami po klepisku. Weronika z westchnieniem odsunęła na bok stos papierów. W głębi duszy miała nadzieję, że kiedy Bladon wróci, będzie z niej dumny.

Gdy po pracy schodziła ze wzgórza w kierunku wioski, psy biegały wokół niej z radością.

W pewnym momencie Tarka zanurkowała w zarośla, nieudolnie próbując wykopać dziurę w ziemi. Weronika z rozbawieniem obserwowała jej wysiłki, po

czym krótkim gwizdnięciem przywołała ją do nogi.

Pani Dowse siedziała w saloniku i oglądała telewizję. Nadal dąsała się na Weronikę.

– Kolacja stoi na stole. Weź sobie sama – powiedziała oschle, a przecież jeszcze wczoraj dwoiła się i troiła, aby jej niczego nie brakowało. Psy minęły Weronikę w wejściu i machając ogonami wpadły na środek salonu przewracając stolik do kawy i tłukąc filiżankę ze spodkiem. Pani Dowse uklękła i zaczęła nerwowo zbierać kawałki potłuczonej porcelany. Potem przecisnęła się obok Weroniki i opróżniła szufelkę do kosza stojącego w przedpokoju.

Weronika stała ze spuszczoną głową.

– Biedne maleństwo – powiedziała pani Dowse i otworzyła ramiona. – Moje biedne maleństwo – powtórzyła.

Przez kilka następnych dni Weronika próbowała swoich sił na nowej posadzie. Brakowało jej doświadczenia Fullera. Jednak stajenni zachowywali się wobec niej bez zarzutu. Była zadowolona, że jeszcze zanim nieoczekiwanie awansowała żyła z nimi w przyjaźni.

Nie to jednak było najtrudniejsze, a fakt, że do tej pory we wszystkim radziła się innych, a teraz tak wiele zależało wyłącznie od jej decyzji. Z czasem stała się bardziej stanowcza. Nawet mniej się rumieniła, karcąc podwładnego, który zaledwie kilka dni temu miał ten sam status co ona. Nabierała pewności siebie, ale i też ponosiła koszty. Czasami zabierała się do spraw, które przerastały ją o głowę. Brakowało jej wtedy zdrowego rozsądku Boba Fullera.

To wszystko odciskało swoje piętno na jej twarzy, która po bezsennych nocach i wypełnionych harówką dniami była blada i zmęczona.

Czasami próbowała sobie wyobrazić Bladona w zamorskim, nieznanym jej kraju. Teraz panowała tam zima. Ciekawe, czy również pada tam śnieg, a może i mroźny wiatr hula bez przeszkód po bezkresnej sawannie.

Szkoda, że tak mało wie o Argentynie. Kiedy zamknęła oczy, widziała jadącego na koniu Bladona w stroju gauchos. Ma na sobie skórzane bryczesy i ponczo dla ochrony przed wiatrem. Pewnie siedzi sobie teraz i gawędzi po hiszpańsku ze swoją matką i babką. Tak naprawdę, to nic o nim nie wiedziała poza tym, że go kocha.

Psy nie opuszczały jej na krok. Była dla nich namiastką ich pana. W ich oczach widziała ogromną tęsknotę.

Pewnego dnia do jej biura niespodziewanie wszedł Patrick Gilpayne.

– Jesteś niezła – pochwalił ją. – Myślałem, że Bladon dał ci tę robotę, bo nie



miał nikogo lepszego pod ręką, ale teraz widzę, że trafił w dziesiątkę.

– Dzięki – odpowiedziała nie odrywając oczu od pracy.

– Dlatego szkoda mi cię – dodał.

Nie zareagowała od razu, próbując zsumować kolumnę cyfr.

– Szkoda? – zapytała odruchowo.

– Że musisz odejść.

Uniosła rękę nad kartką i zatrzymała ją na chwilę.

– Powiedziałem: Szkoda, że musisz odejść. – Tym razem głośniej.

– Słyszałam co powiedziałeś. – Była zła, – radzę ci, abyś na przyszłość przychodził do mnie z pilnymi sprawami i nie zawracał mi głowy byle bzdurą.

– Nie wściekaj się, Weroniko. Przyszedłem ci współczuć.

Spojrzała na niego i z głębokim westchnieniem odłożyła ołówek.

– Musisz robić to teraz, kiedy liczę?

– Przepraszam, że zawracam ci twoją śliczną główkę, ale... – Obdarzył ją złośliwym uśmiechem. – Przyszedłem ci oznajmić, że zostałeś zwolniona.

– Wynoś się! – krzyknęła. – Nie mam czasu na twoje nieczne wygłupy!

– A dla niego miałaś czas? – zmierzył ją od stóp do głów.

Czuła jak krew odpływa jej z twarzy.

– Masz, przeczytaj – rzucił kartkę papieru na jej biurko.

Nagle niewidzialny ciężar przygniótł ją do ziemi. Nie mogła skupić się na czytaniu, litery i całe słowa rozmazywały się jej przed oczami. Zamknęła na moment oczy. Czuła, jak wypełniają je piekące łzy.

Trzymała w ręku telegram z Buenos Aires, podpisany inicjałami K. B. Bladon informował ją krótko, że została zwolniona w trybie natychmiastowym. W przyprawie złości chciała porwać telegram na strzępy i cisnąć je Gilpayne'owi, oświadczając, że nie opuści pracy, chyba że Bladon każe jej to zrobić osobiście.

Gilpayne widocznie zauważył co się święci, bo cofnął się o krok.

– Ja nie mam z tym nic wspólnego. To nie moja wina, że się rozmyślił.

– Ale dlaczego? – złość powoli ustępowała miejsca bezsilności.

– Spójrz na to w ten sposób. – Od współczucia w jego głosie mogłoby skwaśnieć mleko. – Pojawia się piękna dziewczyna, on zakochuje się w niej, zrywa ze swoją narzeczoną i o mały włos nie doprowadza do rozpadu drużyny.

Weronika chciała mu przerwać słowami:

– To wierutne brednie! – ale jakoś nie mogła się na to zdobyć.

– Co miał więc robić? – Patrick kontynuował bezlitośnie. – Wpadł na pomysł, aby pozbyć się intruza, póki do końca nie zmarnuje mu życia.

– Ale dlaczego dopiero teraz? – zawołała rozpaczliwie.

– Pewnie potrzebował czasu do namysłu, a może sama Bianka mu w tym pomogła? Są tam razem.

– Bianka?! A co ona tam robi? – poczuła, jakby ktoś wymierzył jej siarczysty policzek.

– Poleciała tam przed Bladonem, aby jak mówiła, spotkać się z matką. Ci Latynosi są dziwnymi ludźmi. Trudno ich rozgryźć.

Pogłaskał ją czule po głowie.

– Wielka szkoda. Może przed twoim odejściem pobarszkujemy trochę?

Weronika zamachnęła się, aby go uderzyć, ale zablokował cios, chwytając ją za przegub ręki.

– Jak chcesz – wzruszył ramionami. – Daj znać kiedy zmienisz zdanie.

## Rozdział 8

Jonathan i Becky wrywali gazetę z rąk Weroniki. Ona sama siedziała, wpatrując się nieruchomo w jeden punkt. Całą podłogę zaśmiecały wycinki z gazet i magazynów, które wertowała przez ostatnie kilka godzin. Popatrzyła na bałagan, a potem na dzieci zajęte robieniem kolażu. Postanowiła posprzątać, zanim wróci Penny.

– Dalej, bierzcie się do pracy – powiedziała klaszcząc w dłonie – mama zaraz wróci.

– Jeszcze nie skończyliśmy, ciociu.

– Jutro dokończycie. Pomogę wam. Teraz ugotujemy obiad i zrobimy mamie niespodziankę.

Przez cały dzień Weronika wyszukiwała sobie różne zajęcia, aby stłumić wspomnienie z Hinton Priors. Przeglądała ogłoszenia w sprawie pracy, rozpytywała przyjaciół i znajomych. Godziła się na każde zajęcie, pod warunkiem, że znajdowało się jak najdalej od Wiltshire.

Penny była cudowna. Weronika wiedziała, że może u niej pozostać tak długo, jak będzie chciała. Rzecz jasna, nie mogło to trwać w nieskończoność.

Urzednicy wydziału zatrudnienia byli zaszokowani, kiedy pewnego dnia zapytała ich o posadę stajennej. Powiedzieli, że dadzą jej znać, jeżeli czegoś się dowiedzą. Od tamtej pory minęły dwa tygodnie.

Czuła, że obecny tryb życia powoli zabija w niej entuzjazm. Musiała odwozić dzieci do szkoły. Potem zabierała je do domu i bawiła się z nimi w pobliskim parku.

Jednak widok Bładona uporczywie powracał. Czuła wtedy pustkę w sercu, tak jakby ktoś zabrał jej kawałek życia. Często budziła się rano z mokrą od łez poduszką pod głową. Śniła, że stał obok niej z uśmiechem na ustach, od którego przechodziły ją dreszcze.

Jedynym lekarstwem była ucieczka myślami jak najdalej od miejsc, które przypominały jej urwistą skarpe, albo nizinę ciągnącą się na południe, czy zieloną dolinę u stóp wzgórza. Samo wspomnienie wschodu słońca, który oglądali razem, było torturą nie do zniesienia, tym większą, że właśnie wtedy odrzuciła jego oświadczenia.

Powinna jak najszybciej zapomnieć o wszystkim. Przecież to on dokonał wyboru, decydując się na kobietę, z którą łączyło go nie tylko pochodzenie, ale i

język. Jednak obszedł się z nią wyjątkowo okrutnie, tak jakby nic ich wcześniej nie łączyło. Widocznie zapewnienia o dozgonnej miłości były dla niego tylko pustymi frazesami. Może właśnie powinna go nienawidzić z mocą równą tej, z jaką go dotąd kochała? Tylko skąd wziąć tyle siły, aby zatrzymać w sobie złość, która mijała bezpowrotnie na jedno choćby wspomnienie o nim.

Penny i Dawid, mimo życzliwości z jaką ją przyjęli, odetchnęli z ulgą, kiedy w końcu przyjęto jej podanie o zatrudnienie.

Rozmowa z przyszłym szefem przypominała jej tamten poranek nad rzeką Hinton Priors. Próbowwała powstrzymać natłok myśli tłumacząc sobie, że tym razem wszystko potoczy się inaczej.

Miała rację. Ralph Patterson, jej nowy pracodawca, w kilku słowach sprecyzował swoje wymagania wobec niej.

– Potrzebuję kompetentnego i doświadczonego szefa stajennych. Dla siebie zaś pozostawiam kwestie finansowe i problemy dotyczące drużyny. Mam ambitne plany co do następnego sezonu.

Patterson był zażywnym i rubasznym jegomościem. Od pierwszej chwili poczuła do niego sympatię. Najważniejsze było jednak to, że jego stadnina znajdowała się w znacznej odległości od Hamshire. Nie przejmował się też tym, że nie miała świadectwa z poprzedniego miejsca pracy. Zakończył ten temat stwierdzeniem.

– Kit Bladon to dureń, skoro wypuścił cię z rąk. Oglądałem jego drużynę w akcji i mogę się założyć, że ty też miałaś udział w tym zwycięstwie.

Okolica była zupełnie inna podobnie jak ludzie, z którymi przyszło jej pracować. Miała w zasadzie ten sam zakres obowiązków, co pozwoliło jej szybciej przystosować się do nowych warunków. Stajenni odnosili się do niej przyjaźnie i byli mniej wścibscy. Może dlatego, że wioska, skąd pochodzili, leżała niedaleko dużego miasta. Zależało im jedynie na tym, aby jak najszybciej wykonać swoją pracę i powrócić do domów.

Było już po sezonie. Kuce odpoczywały, zajęte przeżuwaniami soczystej zielonej trawy. Robotnicy sezonowi wynieśli się do miasta, a treningi nie odbywały się już z taką częstotliwością jak latem.

Czasami kuce brały udział w towarzyskich meczach, rozgrywanych między sąsiadującymi drużynami. Jednak podczas spotkań brakowało tego napięcia, tej woli walki, jaką pamiętała z Barringham. Mecze traktowano z przymrużeniem oka i rozgrywano je raczej w duchu przyjaznej rywalizacji.

Pewnej soboty, gdy była zajęta układaniem worków z paszą w magazynie

żywnościowym, usłyszała znajomy turkot kół i stukot kopyt końskich. Kiedy podekscytowana wybiegła na podwórze, wpadła prosto w ramiona Jackie Dowse.

– Weronika! Własnym oczom nie wierzę. Co tu robisz? – Weronika nie wiedziała, czy ma płakać czy się cieszyć. Jej reakcja na powitanie Jackie była raczej chłodna.

– Pracuję, nie widzisz? – Prawie natychmiast pożałowała, że zachowała się wobec niej niegrzecznie. – Nie gniewaj się, Jackie. Zaskoczyłaś mnie swoją wizytą. – Jackie przez moment stała niezdecydowana, ale po chwili jej okrągłą twarz rozjaśnił uśmiech, ten sam, którym przywitała Weronikę podczas ich pierwszego spotkania.

– Nie chciałabym wściubiać nosa w twoje sprawy, ale kiedy wrócił pan Bladon i dowiedział się, że zniknęłaś, na farmie rozpętało się piekło. – Weronika poczuła, jak uginają się pod nią kolana.

– Wrócił? – wykrztusiła z siebie. – Kiedy?

– Kilka dni temu, i jest nie do zniesienia. Wszystko go złości. Jak tak dalej pójdzie, to i ja rzucę w cholerę robotę u niego! Dzisiejszego ranka, na przykład, zbeształ mnie jak nie powiem co, za to, że nie zamknęłam na zamek drzwi do stajni, a przecież weszłam tam tylko na chwilę.

Weronikaomal nie wybuchnęła śmiechem na widok jej kwaśnej miny, mimo że wspomnienie Bladona rozdrapywało świeżą jeszcze ranę.

– Nie przejmuj się, Jackie. Wszystko jakoś samo się ułoży – powiedziała łagodnie.

– Mówią, że to przez Biankę, bo wyszła za męża za jakiegoś miejscowego waśniaka z furą pieniędzy. Ja jednak myślę, że ktoś inny jest wszystkiemu winien. – Popatrzyła Weronice prosto w oczy i po chwili dodała: – No cóż, czas na mnie, czeka mnie jeszcze ogrom pracy.

Powiedziała to stanowczo, choć nie wyglądało, aby spieszyła się dokądkolwiek. Z założonymi na brzuchu rękami do złudzenia przypominała babkę z rozbawieniem słuchającą plotek.

– Muszę cię, Weroniko, o coś zapytać. Dlaczego odeszłaś? Twoja nagła decyzja zabiła wszystkim klina.

Weronika miała nieprzepartą ochotę zwierzyć się Jackie z bólu i poniżenia, jakiego doznała od Bladona, ale czy to miało sens? Po co miałyby pozbywać się maski, która skrywała jej skołataną duszę.

– Tak naprawdę, Jackie, to już nie pamiętam co mną kierowało. – Miała nadzieję, że tymi słowami przekona dziewczynę. – Może to, że Bladon przestał

mnie interesować, więc nie było sensu dłużej zajmować się jego stadniną.

– Nie nabierzesz mnie tak łatwo – zamruczała Jackie. – Babka nie odstępowała Bladona na krok po jego powrocie, ale ani słówkiem nie pisała o tobie. Co gorsze, wszystkim nam zabronił o tobie mówić. Wrzeszczał jak opętany, że nie jesteś warta złamanego szeląga. Coś mu doskwiera, to oczywiste. – Znowu przyjrzała się badawczo Weronice. – Mam zamiar dowiedzieć się co to takiego, bo w przeciwnym razie Bladon przemieni Priory w piekło.

Weronika nie miała ochoty zadreć się dłużej. Zaraz po rozstaniu z Jackie zajęła się pracą, aby jak najszybciej uśmierzyć przenikający na wskroś ból. Pozwoliła sobie jedynie na obejrzenie ukochanych koni: Kacpra, Blenheima, Wenus, Gemini, Troya i Roxannę. Ich widok wynagradzał jej wszystkie cierpienia.

Próbowała pogodzić się z myślą, że któregoś dnia będzie musiała stanąć twarzą w twarz z człowiekiem, który ją wyklął. Czy aż tak dokuczało mu sumienie?

Ten dzień nadszedł wcześniej, niż się spodziewała. Czuła do niego tak ogromny żal, że ich spotkanie odczuwała jako dramat rozgrywający się gdzieś daleko poza nimi.

Jego czarne labradory na jej widok wiły się i podskakiwały z radości. Najbardziej ich spotkanie przeżywała Tarka, bo skomlała i szczekała bez opamiętania, a oni stali w milczeniu obok siebie.

Pierwszy przerwał ciszę Bladon, przywołując psy do nogi. Tarka przez moment zawahała się, ale opuszczając posłusznie łeb, powędrowała za Chakką.

Zrobiło jej się słabo. „Zaraz zemdleję” – pomyślała i zaczęła mocno oddychać.

Jego oczy były przezroczyste jak szyba. Nie odbijały nic prócz chłodu i obojętności. „Tak jakbym była wszystkiemu winna” – pomyślała z goryczą. – „No cóż, było minęło, pozostała mi jedynie jego pogarda, ale przebrnęłam przez tę katorgę z podniesionym czołem, bo go kochałam”. – To ostatnie stwierdzenie podziało na nią jak zimny prysznic. „I chyba nadal kocham. Jest za późno, abym mogła już usunąć z serca miłość do niego”.

Stała jak najbliżej linii boiska, aby dokładniej mu się przyjrzeć. Nie przeszkadzało jej, że był tam też Gilpayne. Rzecz się miała inaczej. To on zbladł na jej widok i czym prędzej odwrócił głowę. Myślała, że może poczęstuje ją jakąś kąśliwą uwagą, ale tylko ją zignorował.

„Nie spodziewał się mnie tutaj zobaczyć” – pomyślała, sprawdzając bandaż na nogach kuców Ralpa Pattersona. „I pewnie zapomniał o swoim żądle”.

Patrzyła jak konie biegają klusem i nie mogła oprzeć się wspomnieniom.

Brakowało tu tego ferworu walki z Barringham. Pragnienie sukcesu ustępowało miejsca kompromisowi.

Jednak po paru minutach uświadomiła sobie, że na boisku dzieje się coś niedobrego. Bladon pędził jak szalony, a wokół na trybunach słychać było szmer przerażonych widzów. W pewnym momencie o mało nie skręcił sobie karku w pogoni za piłką.

– Próbuje nas przestraszyć. – Ktoś obok niej gniewnie zamruczał. Co mu się stało? Przecież zawsze był taki opanowany. Czasami lub poszarżować, ale nie jest szalony.

Zamknęła oczy, wołała nie patrzeć na to niebezpieczne widowisko. Z odrętwienia wyrwał ją jeden z graczy, który podjechał do bandy, aby wymienić konia. Przez moment straciła Bladona z pola widzenia. Potem, kiedy znów spojrzała na niego, pędził w kierunku piłki, którą jednym celnym uderzeniem umieścił w bramce.

Mecz dzięki niemu stracił towarzyski charakter. Kiedy David Hay położył mu rękę na ramieniu, próbując w ten sposób przywołać go do porządku, odepchnął go ze złością.

– Ma ochotę kogoś ukarać. Ciekawe czy mnie, może Davida albo nas oboje? – Weronika powiedziała głośno do siebie. – On jest szalony i niebezpieczny.

Gdy wydarzył się nieunikniony wypadek, Weronika zajmowała się którymś z koni. Usłyszała najpierw kolejny złowieszczy pomruk na widowni, a potem ostry gwizdek sędziego. W pierwszej chwili nie zareagowała, opatrując zwierzęciu poranione pęciny. Jednak jej szósty zmysł bezlitośnie podpowiadał jej najgorsze.

Kiedy podniosła głowę, ujrzała galopującego samotnie konia Bladona. Tuż za nim gnał Richard Stillbrook. Bladon zaś leżał nieruchomo na trawie.

Wszystko wydawało się rozgrywać w zwolnionym tempie. Nawet kiedy wnoszono go do karetki, nie dawał oznak życia.

– Pospieszcie się! – Nie wytrzymała i pobiegła w stronę karetki.

– Czy mogę z nim pojechać? – poprosiła pielęgniarza z trudem chwytając powietrze. – Ktoś powinien być przy nim.

– Czy pani jest jego krewną?

– Nie... to znaczy tak. Jestem jego narzeczoną.

„Co z tego, że skłamałam – pomyślała – liczy się tylko to, żeby być przy nim choć przez chwilę. „

Karetką przejechała przez boisko i popędziła drogą do szpitala. Bladon leżał nadal nieprzytomny. Z zamkniętymi oczami jego twarz wyglądała poważniej i była

szczuplejsza. Podwinięte, czarne rzęsy ocieniały policzki. Weronikę kusiło, aby odsunąć mu z czoła włosy, posklejane od potu.

Pielęgniarz obmywał poszarpaną i zaognioną ranę na skroni, kiedy skończył, wyciągnął koc i okrył nim szczelnie Bładona.

Cała jego postać przypominała teraz niesprawną kukiełkę, której pourywano sznurki.

Łzy napłynęły do oczu Weroniki. Wąskimi strużkami ściekały po policzkach. Paliły niczym rozżarzona lawa. Kilka łez spadło na jego czoło. Wyjęła chusteczkę i delikatnie je starła.

Bladon zamrugał powiekami i powoli otworzył oczy. Nieprzytomnym wzrokiem popatrzył dookoła siebie, a potem spojrzał na nią.

– Weronika?. – jego głos był słaby. – Jesteś przy mnie, kochana.

– Jestem... – powiedziała cicho i zaraz powtórzyła: – Jestem tu, przy tobie.

Bladon ponownie zamknął oczy i zdawało się, że nie słyszał jej słów.

W szpitalu potwierdzono słowa pielęgniarza: lekki wstrząs mózgu.

– Za kilka dni będzie zdrow jak ryba – powiedział lekarz.

W drodze do domu Weronika powtarzała to sobie bez końca, póki nie poczuła się lepiej. Tylko, co będzie dalej? – myślała. Kit musi zrobić pierwszy krok. To, że rozpoznał ją w karetce, nie oznacza zaraz, że zmieniła swój stosunek do niego.

Musi zdecydować – albo jego drużyna polo, albo ona. Nikt tego nie robi za niego.

Jakoś nie pasowała jej lapidarność telegramu, który wysłał z Argentyny, do słów, które szeptem wypowiedział w karetce.

Może było to wynikiem szoku, jaki przeżył. Pewnie nic się nie zmieniło, a ona tylko torturuje się złudnymi nadziejami.

Po powrocie do domu czekała ją kolejna niespodzianka.

Przywitał ją w wejściu sam Ralph Patterson. Zachowywał się spokojnie i choć nie podnosił głosu, kiedy mówił, odniosło to taki sam skutek jakby krzyczał i złorzeczył.

Oznajmił jej z wyrzutem, że zawiódł się na niej, że nigdy nie przypuszczał, iż można zostawić krwawiącego konia i opuścić mecz z byle powodu.

– Nie dostałaś świadectwa pracy w poprzednim miejscu zatrudnienia i ode mnie też się tego nie spodziewaj. Jesteś zwolniona – odwrócił się plecami i odszedł.

Nawet nie próbowała się bronić. Myślała jedynie o Bładonie, o tym, że wkrótce wyzdrowieje. Tylko to dodawało jej otuchy przez całą noc i przez następny dzień, który spędziła na pakowaniu rzeczy.



Powoli życie wymykało się jej spod kontroli.

Wracając myślami w przeszłość, próbowała zrozumieć, co takiego zrobiła, że teraz wszystko wali się jej na głowę. Przypomniała sobie tę chwilę, kiedy Bladon poprosił ją o rękę, a ona odmówiła. Teraz gorzko tego żałowała. Gdyby wtedy uwierzyła, że ją naprawdę kochał... To, że miłość zrodziła się nagle w jego sercu w żadnym razie jej nie przekreślało.

Penny próbowała ją pocieszyć, kiedy po jej przyjeździe dowiedziała się o wszystkim. – Nie obwiniaj siebie, Weroniko – mówiła. – Skąd mogłaś wiedzieć, że wszystko tak się skończy? Głupio postąpiłaś jedynie wtedy, gdy pozwoliłaś, aby ktoś stanął między wami. Uważam, że jesteś wobec siebie zbyt surowa.

– To ja zawiniłam, Penny. Po prostu byłam w stosunku do niego zbyt nieufna. Dlatego pozwoliłam innym zasiać zwątpienie w moim sercu. To, że teraz przebywa w szpitalu, jest też moją winą.

– Głupstwa wygadujesz – przerwała jej ostro Penny.

– Jechał jak szalony i dlatego, o mały włos, nie skręcił sobie karku.

– Sama już nie wiem – jej głos drżał. – Tak bardzo go rozzłościłam i dlatego stało się to nieszczęście.

Penny przytuliła ją do siebie.

– Weź się w garść dziecinko.

Musisz zacząć życie od nowa i zapomnieć o nim.

– Aleja...

– To nie będzie łatwe, ale tylko sprawiasz sobie większy ból, rozpamiętując spędzone z nim chwile. Jesteś jeszcze młoda, a on może ci zmarnować życie.

Łatwiej było powiedzieć niż wykonać, mimo że jej myśli zaprzętało teraz poszukiwanie pracy. Dopiero co zakończyła pracę nie otrzymując świadectwa, a teraz wylatuje z hukiem z następnej posady.

Groziło jej bezrobocie na długie miesiące, tym groźniejsze, że wieści w małym środowisku roznoszą się lotem błyskawicy.

Jej imię i nazwisko podawano sobie z ust, do ust, dodając za każdym razem: nie godna zaufania, nie dba o pracę.

Na listy odpowiadano grzecznie albo traktowano ją z góry lecz za każdym razem odprawiano ją z kwitkiem.

Penny proponowała jej, aby wróciła do pracy w biurze. Na samą myśl o pobycie w czterech ścianach przez cały dzień, Weronice robiło się niedobrze.

Uciekła już raz stamtąd z nadzieją, że nigdy nie przekroczy progu żadnego biura, ani nie dotknie maszyny do pisania.

Może powinnam zapisać się na kurs podyplomowy – myślała. Doskonały pomysł! Nowe środowisko, może nawet Londyn. Tam łatwiej mogłabym zapomnieć o cierpieniach jakie przeszłam.

Penny załamywała nad nią ręce. Siostra nie przypominała już tej pełnej życia dziewczyny, jaką była niegdyś.

„Gdybym mogła porozmawiać z tym Bladonem” – myślała Penny zagniatając ciasto. „Już ja bym mu wygarnęła” – włożyła ciasto do formy i zatrzasnęła drzwiczki piecyka. „Przejrzałyby na oczy i zobaczył kto tu naprawdę zawinił. „

Po tygodniu przyszła tylko jedna zadowolająca Weronikę oferta. Musiała na nią odpowiedzieć przez skrytkę pocztową.

Należało to raczej do rzadkości.

„Pewnie to jakaś zapadła dziura” – pomyślała wysyłając list. „Doskonale, w końcu trafię do miejsca, gdzie będę mogła o wszystkim zapomnieć. „

Odpowiedź otrzymała bardzo szybko. Informowano ją, że za dwa dni czeka ją rozmowa z pracodawcą, w jego biurze w Londynie.

– U niego w biurze mamy decydować o mojej pracy? To śmieszne. Chyba najpierw powinnam obejrzeć miejsce pracy.

– Widzę, że odzyskałaś pewność siebie – śmiała się Penny.

Pojedziesz do niego i powiesz mu, co chcesz robić.

– Nieważne co przytrafiło ci się w przeszłości. Liczy się tylko przyszłość.

Przez całą drogę do Londynu, Weronika powtarzała sobie słowa Penny.

Spojrzała w okno, aby przyjrzeć się okolicy, ale widziała jedynie swoją szczupłą twarz i kremowy żakiet, który tak jak szpilki włożyła po to, aby zrobić przyjemność Penny.

Pragnęła też choć trochę poprawić sobie samopoczucie.

– Liczy się tylko przyszłość – powtórzyła raz jeszcze słowa Penny, kiedy stanęła w drzwiach biura. Nacisnęła kławkę i weszła do środka.

Przy biurku siedziała elegancko ubrana sekretarka. Całe biuro wypełniały drogie, nowoczesne meble.

Weronika była zadowolona, że posłuchała Penny i przyjechała tu.

– Proszę tędy panno Jordan – sekretarka wprowadziła ją do następnego pomieszczenia.

Stał tam mężczyzna odwrócony tyłem do drzwi, przez które weszła.

Znajomy widok jego pleców sprawił w jednej chwili, że miała ochotę wybiec z biura i nigdy nie wrócić.

Bladon wyczuł jej zakłopotanie i odezwał się:

– Nie odchodź. Musimy sobie wyjaśnić pewne sprawy. Przecież coś nas w końcu łączy.

– Łączyło. To dla mnie już przeszłość. Nie mamy sobie nic do powiedzenia.

– Nie masz nade mną litości, Weroniko. Tyle czasu cię szukałem – odwrócił się do niej.

W czarnym garniturze wyglądał poważniej i bardziej przypominał obcokrajowca.

Na jego twarzy widać było bliznę, wyraźnie odcinającą się od brązowej skóry.

– Muszę się czegoś dowiedzieć od ciebie – zrobił krok w jej stronę. – Jechałaś ze mną karetką. Co wtedy do mnie mówiłaś? – Nie czekając na odpowiedź zbliżył się do niej i wziął ją w ramiona.

– Obiecałaś, że mnie nie opuścisz. Dlaczego to zrobiłaś?

– Nie zostawiłam cię. Mylisz się. – Poczula jego usta na swoich włosach. Całował ją, a ona wbrew swojej woli unikała jego gorących ust.

– Myślałem, że cię znienawidziłem – szeptał. – Kiedy wróciłem z Argentyny i dowiedziałem się, że ciebie nie ma, myślałem, że oszaleję. Co gorsza, nikt nie wiedział, co się stało.

Weronika próbowała coś powiedzieć, ale całując ją w usta, nie dał jej dojść do słowa.

– W końcu dowiedziałem się, że pracujesz u kogoś innego. Kiedy zobaczyłem cię z kucami Pattersona, wpadłem we wściekłość i jak sama widziałaś, o mało nie przypląciłem tego życiem.

– Nie opuściłam cię bez powodu. Przecież sam mnie zwolniłeś. – Próbowała ukryć żal, jaki czuła do niego.

Jego reakcja zaskoczyła ją jednak. Odsunął ją od siebie i niemal krzyknął:

– Zwolniłem cię?!

– A któż inny? Sądziłeś, że po tym wszystkim będę czekała, aż wrócisz?

Bladon był szczerze zakłopotany.

– Zapomniałeś o telegramie, który wysłałeś z Argentyny? Patrick mówił, że zwolniłeś mnie, bo zagrażałam twojej drużynie. Musiałeś być, aż tak okrutny? Nie miałaś odwagi powiedzieć mi tego wprost?

– Patrick! – wybuchnął gniewem. – Przecież to on mówił mi, że zniknęłaś bez słowa, bo znalazłaś sobie lepszą pracę.

– A ty mu uwierzyłeś? – zapytała z niedowierzaniem. – Zresztą ja też nie postąpiłam rozsądniej.

– Ale dlaczego on to zrobił?

– Nie wiem, może z zazdrości. W końcu ja też byłam zazdrosna o Biankę.

– Byłaś zazdrosna? Głuptasie – popatrzył jej w oczy. – Bianka znalazła sobie bogatszego amanta. Życzę im, aby byli szczęśliwi. Ciekawe, kto wysłał z Argentyny ten telegram?

– Mało mnie to obchodzi.

– Bianka jest szczęśliwa. Patrick zniknął. Wyjechał zanim wyszedłem ze szpitala. Na początku nie wiedziałem dlaczego, ale po tym pechowym meczu przejrzałem na oczy.

Kiedy zobaczył ciebie, przestraszył się, że jego knowania wyjdą na jaw. – Bładon przytulił ją do siebie. Czują ciepło jego ciała, a mimo to bała się, że nadal śni, że w każdej chwili może się obudzić.

– Obojgu nam zabrakło wiary. Sądzisz, że uda nam się ją odzyskać?

– Jestem tego pewna.

– Przyszło mi na myśl, że nie pasujemy do tego biura. Nasze miejsce jest wśród wzgórz i nizin Hinton Priors. – Wziął ją w ramiona i dodał:

– Obiecuj mi, że już nigdy mnie nie opuścisz. Czas abyśmy poważnie zastanowili się nad naszym ślubem. – Objął ją mocniej ramieniem. – Nie chcę cię znowu stracić, bo cię kocham. Istnieje tylko jeden sposób, aby zatrzymać cię przy sobie na zawsze.

– Mówiłeś kiedyś, że drugi raz nie będziesz mnie prosił o rękę.

Bładon wybuchnął śmiechem.

– To też ja cię wcale nie proszę, a rozkazuję ci wyjść za mnie.

– Moja odpowiedź brzmi – „tak”!